ZAWIERUCHA SZKOLNA

(lata 1905 i 1906)

POWIEŚĆ

NAPISAŁ

Czesław Zrąb

WARSZAWA
Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolfa.

1912

W knajpie blisko uniwersytetu w Monachium znajdowało się zaledwie kilka osób. Goście, przeważnie słuchacze, byli jacyś zmęczeni, na twarzach ich nie było widać tego płomienia zapału, jaki się zwykło wiązać z pojęciem młodości. Wśród tych kilku młodzieńców zwracał uwagę jeden — poetycznym profilem. Kilka loków wiło się na około czoła — oczy były pełne zadumy. Wystające kości policzków nadawały twarzy wyraz skupienia, ascetyzmu i marzycielstwa. Po chwili student zaczął szukać czegoś w notatkach—gdy w tem wszedł młody kolega i zawołał „Lechowski“ mam list do ciebie — nawet z tytułem patrz „W. Pan Dr. Lechowski” widzisz już wiedzą w Polsce, że nowa sława naukowa okryje ją blaskiem. Lech. podniósł oczy na kolegę, odebrał list i w miarę czytania radość żywo zaczęła malować się na jego twarzy. Po chwili zawołał do kolegi: „Słuchajcie, jadę do Królestwa—wzywają mię do szkoły, czy wy to pojmujecie powstała szkoła polska—czy myśmy myśleli kiedy, że nas takie wielkie szczęście spotka. Chodźcie—ze mną—już bym dłużej tutaj nie wytrzymał”.

Kolega Gałek porwał swą pelerynę i wśród zdziwienia niemców i wchodzącego do sali gościa wyszli z kawiarni. W drzwiach już zapytał Gałek:

„No czytajcie—kto pisze i co?“.

Pisze—profesor Brzeski – słuchajcie:

Szanowny Panie Doktorze!

List Sz. Pana z zapytaniem o miejsce nauczyciela w nowopowstałej szkole polskiej — otrzymałem i z polecenia Rady Nadzorczej mam honor prosić o przyjęcie obowiązków.

Z szacunkiem Brzeski.

P. S. Wykłady 3 września.

Otóż uważacie kolego cieszę się niezmiernie—najpierw, że skończy się moje biedowanie potem że będę uczył w polskiej szkole — jakto brzmi dziwnie—„polska szkoła“. „No to ja także jadę do Królestwa. Jeżeli nastąpiła taka nadzwyczajna zmiana, to może na moją nieprawomyślność gimnazyalną nie będą tak uważali, jak to się dotąd działo. Chociaż nie podzielam tej nadzwyczajnej waszej radości“.

„Oho — już zaczynasz zarażać mię twym bezpłodnym pesymizmem“.

„Nie—ty mój Lechoniu nie zarazisz się. ty masz za dużo jeszcze temperamentu, zresztą filolog i pesymista to komiczne zestawienie!

„Kto przez 8 lat miał z trupami lub chorobami do czynienia — ten inaczej patrzy na świat”.

„Mój kochany—to wszystko są gadaniny—ostatecznie tak się patrzeć na życie zupełnie

grobowo nie trzeba — i nie można, jeżeli ktoś chce pracować; trzeba szukać radości życia — nie chcę ci gadać morałów, a przecież ty sam jesteś żywem zaprzeczeniem własnej teoryi — pocóż szukałeś wiedzy—poco zdawałeś egzamina i zostałeś doktorem!

„Mój Leszku—ty nie rozumiesz życia—albo udajesz, że nie rozumiesz zagadki śmierci"!

„Ha, ha" polski dziadowski hamletyzm — jedź ze mną a rzucisz się w wir tysiącznych zjawisk — każde z nich ciekawe, jedne wesołe, drugie ponure ale dla mnie zawsze bardzo ciekawe, głupi mówi, że życie *szare* — nie masz widać tak silnego wzroku, aby zobaczyć w tej niby szarzyznie bajeczną kolorowość — prawda śmierć ironicznie patrzy na nasze wysiłki — ale zanadto jestem jeszcze zdrów, aby o niej ciągle sobie przypominać i mącić radość życia — tak mój drogi — nie można się tak grzebać w bagnie życia—ach gdybym istotnie tak myślał— to powinienem zostać anarchistą! Znasz moją nędzę w gimnazjum nigdy tak nie odczułem jej—jak w tej chwili gdy matka leżała chora i była skazana na zagładę. Musiała umrzeć—bo nie miała za co się leczyć „złoty cielec rządzi światem" znienawidziałem życie ale też postanowiłem wydrzeć swą część—może się ta cała moja nauka nazywa tylko „kulturalnym pochronizmem" ale wiem—że dojdę do czegoś!

Dla biedaka z ambicyą jest wielką drogą praca naukowa odznaczyć się na takiem polu, to zdobywa się udział w życiu—materyalnie a potem idą zabawy naukowe o spółgłoskach

głoskach—hiatus, elipsis i tym podobne inne zbytki. Widzisz mój drogi—klęską moją i tysiąca kolegów była szkoła średnia—jeżeli przypominam sobie dziś te 8 lat podłej nauki, jeżeli patrzę na tę zakulisową robotę szkoły, to widzę coś innego w tym organizmie. Moje lata w szkole średniej—to tresura walki o byt o życie. Rezultat na całe życie jeden—tak rób, abyś się nikomu nie naraził—tak postępuj, aby szanowny właściciel rozdawania stopni czuł, żeś ty mu oddany, że lubisz ten przedmiot, który on wykłada!

Z początku patrzy się chłopczyna przerażony—na potężnych panów — potem następuje idealne niszczenie w sobie szlachetnych uczuć—aż gdy dojdziesz do matury rozumiesz, że podstawą nauki w szkole i życia w niej jest *udawanie*!

Nikt z naszych belfrów nie wchodził w to, czyś ty miał co zjeść—czyś ty miał jakie takie warunki, aby pracować umysłowo; kto chce psa uderzyć to i kij znajdzie — musisz wykuwać—bo nie uwolnią cię od wpisu—bo usuną cię z grona wybranych!

Szkoła średnia jest dla plutokracyi, szkoła wykształciła falangę aktorów, pamiętam jak stary Kisło—ten od matematyki — wrzeszczał — „Kto nie ma na wpis, to precz“!

Pamiętasz tę „bursę dla młodzieży“ gdzie dawano życie i mieszkanie. aby wychować sobie stronników na przyszłość! Pamiętasz tego oblanego sadłem prefekta, gdy co roku rozpaczał, że nikt nie chce wstąpić na święty wy-

dział teologii. Jednakże na wszystkie biedy znajdywało się remedyum!

Zabłąka się czasem do tej instytucyi paczenia charakterów jakieś indywidium, nauczyciel, który powie uczniom co to „krytycznie patrzeć na świat i życie“ — czasem jest to nauczyciel literatury — czasem historyi — dość, że w takiej chwili następuje przebudzenie duszy— czasami jacyś niepoczciwi uczniowie przyniosą ze sobą nieodpowiedni druk, czasem usłyszy się o takiem Bruno-Galileli—o rzezi galicyjskiej i kilku uznanych przez gospodarza klasy „łajdaków“ zaczyna myśleć o życiu — zaczyna się ta naiwna ale i często trafna krytyka—po pewnym czasie kilku wyleci—potem zagranicą wykrzyczy się na porządek społeczny, potem może opuszczą uszy ale *zawsze* jest to *tryumf* badawczej *myśli*“.

„Tak mój kochany uczymy się obłudy i rozmaite dajemy dowody. Czasami ktoś schowa portret urzędowy—zaczyna się poszukiwanie za piecem! Pamiętam zrobiono tak na złość panu profesorowi Kisłowskiemu“!

Dewiza jego wychowawczej działalności „wygonić“, wsadzić do kozy na 16 godzin i pokuta kościelna.

Miał właśnie przyjechać do gimnazyum jakiś urzędowy dygnitarz. Gorączkowe wypieki na twarzy panów—wstrętne głaskanie dzieci „po twarzy“ — nastrój uroczysty. W tem w 7 klasie nie ma portretu. Gdzie—portret! uczniowie dostaną po 8 godzin jeśli się sami przyznają. Oczywiście nikt się nie przyznał—wiedziano

dobrze, jakie skutki ma takie uczciwe przyznanie się—na razie nic — a potem uwagi, podejrzliwe spojrzenia, ocena charakteru już stale wyznaczona — to „podejrzany łajdak“. Znaleziono portret pod katedrą —nastąpiło uroczyste zawieszenie obrazu i oczekiwanie zemsty. Grono mściło się w sposób subtelny. Przedewszystkiem zadawano po kilka kartek więcej z każdego przedmiotu—potem szafowano dwujami—wreszcie tylko 20-stu na 45 dostało promocje. Nie możemy promować łajdaków, zarazę społeczną i t. d. ale niema i co dłużej o tem gadać — chodźmy do domu i jedźmy do kraju—do nowej pracy!

Gałek zawinął się peleryną i gwiżdżąc szli do doktorskiego mieszkania — składającego się z marnej izdebki o jednem oknie. Jednakże i w mieszkaniu znać było na łóżkach obu studentów różnicę—Lechoń miał systematycznie ułożone poduszki—Gałek wszystko inaczej, niż być powinno. Stały kontrast w czynie i słowie.

Gdy już siedzieli w wagonie rzekł Lechoń „A zapamiętaj sobie jak tu w tem niemieckim wagonie 3-ciej klasy czysto“! Nie trzeba rozpaczać — musimy dojść do pewnych wyników i u nas—tworzyć—patrzeć i jasno określać zjawiska życia. Na granicy odrazu poczuli różnicę życia—oto nie wolno było przejechać jakiemuś panu, gdyż brak było jakiegoś podpisu. Gałek zaczął się tą sprawą interesować. Podszedł do nieznajomego i zapytał:

„Przepraszam pana, za co robię panu trudność?”—„Za co —bardzo komiczne mam pasz-

port austryjacki byłem w Poznaniu mam mieć podpis rosyjski — a ja o tem nie wiedziałem, i musze zmarnować 2 dni."

Ha ha — to dobre, masz pan przynajmiej dowód że żyjesz pod 3 rządami. Ale na to jest rada — o to jest tu taki żydek, a on się wszystkiem zajmie! Mamy tylko jeszcze jeden dowód na to, że nienormalne przepisy wywołują nie moralno czynności. Nazywam się Gałek."
„Ja Kózma jestem emerytalnym nauczycielem."
„A pan?" —

„Lekarzem", jadę do Warszawy — może i pan miał tam jechać." —

Tak ja tam pojadę jutro, tylko najpierw wszystko się załatwi... dodał tajemniczo... trzeba mieć głowę na tak zwanym karku!"

Zdziwiło to Gałka, chciał coś jeszcze powiedzieć, ale K. wyszedł — Gałek poszukał L. i powiedział, ciekawy to jakiś K., właściwie ma on minę skazanego na śmierć. No jazda do wagonu i do pługa społecznego!

Gdy pociąg ruszył zobaczyli K. spokojnie chodzącego po wagonie.

„A szanowny profesor jedzie z nami, tak panie dołączyłem do paszportu odpowiednie objaśnienie i jakoś wszystko w porządku! A gdzież panowie przebywali—czy na studjach?

— Tak panie — byliśmy w Monachium, a teraz jedziemy do szkoły — na nauczycieli!

— Patrzcie panowie, rzekł—jaki zastygły spokój na twarzach pasażerów — dziś w Warszawie i w Łodzi dokonano licznych morderstw — na służbie policyjnej!"

„To okropne mordować ludzi niewinnych, bo przecie ci ludzie dla chleba spełniali służbę— to przecież tylko narzędzie w ręku innych!

— „Tak tak — ale przypomina pan sobie te słowa, gmach zbudowany na grzesznym fundamencie musi runąć — ot i wszystko — czyż pan chcesz krytycyzmu od naszych robotników, pozostawiwszy ich bez oświaty — proszę pana oświata to u nas nie jest jeszcze uznana za konieczność—za tak niezbędny czynnik jak chleb codzienny. To też ciemnota wydaje owoce".

— Na jakże pan zapatruje się na teraźniejszą chwilę — jedziemy właśnie do szkoły i powiem panu, że jestem niezmiernie ciekawy widzieć te nowe zjawisko.

— Ja — proszę pana wychowany od dziecka w Królestwie nie mam zbyt wielkich i różowych złudzeń. Nawet nie wątpię, że ulgi wszystkie wkrótce zostaną cofnięte. Widzi pan sprawa nasza jest jakby widmo po śmierci. Nie może ona ograniczyć się tylko na terenie wychowawczym. Przecież nie można będzie mieć zupejnej swobody w kierowaniu szkołą. Sprawa ta bezwzględnie ważna — musi wywołać dyskusję—dyskusja jeżeli ma być pożyteczną musi być niezależną a czy u nas taka sytuacja będzie możliwą! A do jakiej budy panowie jadą!

Do dyrektora Brzeskiego? A to panowie znakomicie trafili—to bardzo zacny człowiek— to jeden z tych ludzi, który oprócz patentu uniwersyteckiego mają naprawdę kulturę — to nie jest taki cham oblepiony wiedzą — Jest on

narwany — to prawda — ale i to narwanie jest w wielkim stylu. Pamiętam go jeszcze ze szkoły Pantycza — był tam moi panowie inspektorem gbur i szpicel Talan — otóż razu pewnego opowiadał coś Brzeski nauczycielom podczas pauzy, gdy wszedł Talan i jak to było jego zwyczajem chciał koniecznie i od siebie coś dodać — wtem krzyknął Józef, Jerzy, Milczeć!!

— Talan zbladł i chodził przez 6 godzin nieprzytomny. Potem mówił do nauczycieli.— Wiecie — ten Brzeski to... to oryginalny człowiek. Bo proszę panów ja już 40 lat belfruję i mówię panom, że naprawdę są w naszym zawodzie takie sytuacje, że tylko uderzeniem w pysk można je rozwiązać — bo szkoda słów A Sz. Pan jakiś przedmiot wykładał! Przyrodę—ale jak było trzeba to wszystkie fachy— ja jeszcze uczę — nawet w szkole Brzeskiego dostanę 6 godzin. Zobaczymy się jeszcze nie raz i będziemy mogli pogadać o naszych stosunkach.

Widziałem już moi panowie tę epokę, gdy skasowano polskie szkoły — pracowałem w najgorszych warunkach ale powiem panom ciekawą rzecz. Kiedy w zimie nastąpił gremjalny strajk uczniów ze szkół państwowych—jedna rzecz odrazu mię zraziła— (teraz stary belfer pochylił się rzekł ciszej) zadużo rządzili w tem wszystkiem rosyjscy, żydowscy uczniowie. A wiecie panowie, kto teraz głównie chodzi do szkoły państwowej—oni—spadła z nich norma procentowa — i siedzą...

„No to właśnie dobrze — rzekł Lechoń, przynajmiej oczyści się atmosfera“.

„Nie pan, pan się myli—szkoła bez praw może być tylko jedna, dwie i tylko dla takich uczni którym prawa nie są potrzebne. To nie jest zdrowa polityka rzucić wszystko, co daje możność zdobycia sobie stanowiska rządowego dla polaka. Nie mówię już o tem, że szkoła powinna być bezwględnie niezależną materjalnie, że nigdy nie powinien czuć uczeń, że na jego wpisie komuś tam zależy! Ale to mogę stanowczo twierdzić, ze za dużo się u nas gada a zamało jest pracy na prawdę.

Panowie jedziecie na nowy rok szkolny. Ja już trochę w prywatnej szkole pracowałem.

Otóż już widzę dwie bardzo złe rzeczy: nepotyzm ze strony dyrektorów, zwłaszcza jeżeli są właścicielami budy, protegowanie wprost ohydne a druga sprawa rozpanoszenie się uczniów pajdokracya. Np. w szkole Fajera, w szkole która nawet otrzymuje fundusze od towarzystwa miał dyrektor siostrę starą pannę kulawą — szwaczkę. Otóż ożenił ją z pomocnikiem pisarza gminnego, sprytnego chłopa, zrobił z niego wychowawcę we wstępnej i pierwszej klasie, a więc w klasach, gdzie nie ma krytyki i dał im 200 rb. miesięcznie. Nadto odsyła najbogatszych uczniów do nich na stancyę tak, że takie chamy mają do 400 rb. miesięcznie. A człowiek z uniw. wykształceniem musi być kontent, jak otrzyma 120 rb. miesięcznie. W tem Gałek podniecony przerwał mu. „Ho ho! Wyłazi z pana urzędnik eme-

rytowany! Każdy stary tak zawsze mówi. Za moich czasów, he he! Jakto było dobrze, jakie dobre były dzieci i t. d.

Pan nie może już nawet żrozumieć co to za nadzwyczajny tryumf ta szkoła przywatna u nas!

— Może być, że w pańskim wieku zachwycał bym się, takiemi zjawiskami, ale moje 40 lat praktyki uczą mię zupełnie czego innego. Wiem to doskonale, że młody nie uwierzy aż przejdzie cierniową drogę doświadczenia. Słowa te przerwało dziwne zajście. Oto po trzykrotnym już kontrolowaniu biletów wylazł z pod ławki żydek, otrzepał zakurzone ubranie, roześmiał się do patrzących pasażerów i poszedł za kontrolerem i konduktorem.

— Oto ma pan jeden ciekawy obrazek— to jest cała kwestya żydowska—niemoralność przejmująca organizm do szpiku kości ale ta nie moralność ma tradycyę. Żydzi musieli zostać takimi, bo moi panowie, jeżeli komu się mówi ciągle, że łajdak, to on w końcu uwierzy, że to prawda i będzie nadal tak postępował.

— Gałek przerwał te słowa.

— W tej kwestyi ma pan zupełną słuszność, swoją drogą kwestya żydowska stanie się niedługo palącą i może beznadziejną—dla kulturalnego rozstrzygnięcia!

Na to rzekł Lechowski „Jeden pogrom więcej też do niczego nie doprowadzi".

— Powiem panom, jakie komedye powstają z powodu ograniczeń procentowych. Mój uczeń Posener zdał maturę i pojechał do Pitra,

aby się dostać na technikę. Odrazu odpalili go z niczem—procent—przeszedł tedy mój Posener na kalwinizm—znowu go odpalili, ponieważ za świeże jeszcze było nowe wyznanie.

Przeszedł tedy mój uczeń na wyznanie Augsburgskie no i przy załączeniu innych dodatków do podania, dostał się na technikę. Proszę panów, czy taki człowiek — młody do tego i z temperamentem może nie zostać jednym z niezadowolonych. Cechą jego życia musi zostać nienawiść — i obłuda, do tego przygotowały go odpowiednie warunki w średnim zakładzie. Proszę panów uczę już tyle lat i takie mam zdanie o żydowskiej młodzieży szkolnej, są to na ogół dzieci bardzo zdolne, ale nerwowe i za prędko uświadomione w kwestyi płciowej i w kwestyi niemoralności stosunków społecznych.

Już na ławie szkolnej dziecko żydowskie usłyszy „Ty parszawy żydzie“ stąd w nich rozwija się nienawiść. Jednakże przekonałem się, że jeśli okaże się im serce to będą bardzo cenić i nie zapomną tak prędko.

Przypominam sobie było to podczas manewrów, zaszliśmy do jakiegoś małego miasteczka. Odbywałem wtedy służbe za karę.

Otóż dostałem się na kwaterę do jakiegoś niskiego żydowskiego domku. Patrzę ktoto stoi na podwórku — mój miły uczeń Eile, panie pies nieskacze wyżej z radości jak ten żydek i cała jego familja.

W ogóle opiekować się żydami w szkole zawsze im się moralnie i materyalnie opłaciło,

co za prezenta dostawałem—bez naciągania — dali Bóg mówię prawdę.

Gałek dodał: „Kuku w ruku". K. odparł spokojnie: Myśli doktór o łapówce—prawda to tak wygląda—ale to były czyste objawy wdzięczności.

Jednak miło mi na schyłku życia uprzyjemnić sobie, że nikogo się nie skrzywdziło ale zrobiło dobrze. Mój stary kolega to miał inny zwyczaj — pił panie z ojcami synów całe noce, a rano kropił pałki dzieciakom, aby go o stronniczość nie posądzano, ale czy to logicznie?

Któryżby ojciec pił z belfrem, gdyby nie miał czego innego na widoku. Dawniej panie piłem dużo, potrafiłem odprawiać trzydniówkę. Miałem raz inspektora strasznego pijusa i łakomego. Tak się na proszonych objadach i śniadankach opychał, że odrazu łykał całe sardynki — potem zalany musiał oddawać nie jedną z powrotem. Trzymałem go nie raz za łeb, a on patrzy na podłogę i mówi boleśnie: „Mikołaju Pietrowiczu smatritie —całe rybki wylatują ze mnie—nadaremno ja je głotał". Te objawy tak go gniewały, że potem walił butlą w lustro i darł się „Wali—Połtawskij boj.

Gdy już tak krzyczał, to był znak, że wszystko powie, co wie w tajemnicy. Panie żebym miał tak zdolności i pisać umiał, to całe romanse, dramaty!.. Wtedy to on mówił: „Brat wybacz—jaką my tu rolę gramy, ja wiem—serce rozumie wasz ból, pijanica ja, ale mi was żal, tak ja wam okończatielno stawiam wsiem trojki.

Obstanowka zmusza być drugim a nie takim, jak serce czuje. Wali Połtawskij boj!

Gałek oglądnął się teraz na drzwi wagonu, gdzie stanął chłopak ze skrzypcami i zaczął wygrywać popularnego nudnego walca. Lechowski zagadnął chłopaka. „Hej mały—dużo też zarabiasz w ten sposób“. „Proszę łaski pana—ze 2 złote dziennie — w domu matka chora – bracia“.

„Nie zawróć głowy frajer kto ci uwierzy“ przerwał mu roznosiciel wody, mleka i wódki, którą miał ukrytą w zanadrzu. Proszę panów on ma i ze 3 ruble dziennie a potem gra w pasek z konduktorami i dlatego nie płaci za jazdę—„A ty szczeniaku płacisz“ — „Ja pracuję“ a ty...

Zaczęły się wymysły – Lechowski dał muzykantowi 3 kop. aby tylko się usunęli od ich ławki. Zwrócił smutne oczy na krajobraz—ale od granicy do Warszawy pejzaż jednostajny — również rzadko stały chaty; na pastwiskach pasły się stada. Och aby już — dojechać jaknajprędzej—koleją nudzi okropnie jazda.

„Nudzi się panom, rzekł Kuźma, bo jedziemy marną trzecią klasą; gdyby tak można siedzieć sobie w wagonie restauracyjnym popijać bonum vinum, ćmić cygarko i z pełnym żołądkiem omawiać sprawy społeczne wtedy o wiele przyjemniej jechalibyśmy.

„Na to rzekł Gałek: ale z pana to numerek“.

„Mój panie — życie dla mnie starego już tylko ma w tem urok — żałuje że nie jestem

księdzem—ci mają spokojny żywot! — Chociaż nie — w dzisiejszych czasach to i im socyaliści dopiekli. Mam brata kanonika — to nieszczęśliwy człowiek ale z własnej winy. Chociaż mojem zdaniem nigdy nie powinno się brać smarkaczy z 4 klasy na księży.

Taki chłopak oczywiście idzie na księdza tylko dla interesu, a to jest jedyny zawód, gdzie wszelki interes staje się plagą. Otóż przez tych parę lat udaje, aby tylko się wyrwać. Chociaż panowie, jacy oni spryciarze!.. jak oni się urządzają podczas wakacyi hehe!..

Niby każą im we 2 wychodzić na miasto ale panie to nic nie znaczy. Zawsze już tak jest—obłuda—wywołuje obłudę—a skutki! Chyba już więcej hańby, jak oni nam w Królestwie narobili nie można było zrobić!—A jakie u nich intrygi—jakie dyplomacye.--Żenić się niechcą, bo to za ciężkie obowiązki więc wolą gospodynie.

Mają oni los z tymi gospodyniami. Proszę panów, ja im się nie dziwię, że z nudów mają dzieci — bo niby to zalecają im studya, lektury—odwiedzanie parafian, to dobre gadanie dla powieści umoralniających ale nie dla tych, co znają naszego chłopa.

Chłop panie to nie Piast z powieści! a już płacić to strasznie nie lubi. A przecież ksiądz musi jakoś żyć, mało z tem, że żyć dla siebie a wygody życiowe?! Panowie Chrystus żył krótko i nie zestarzał się ale jakby mu przyszło żyć na wsi ze 40 lat — postarzeć się, chorować, toby nie spał w norach jak lis, ale szukałby innego gniazda. A choroby!. —przecie

to ciągłe picie wina psuje żołądek, a potem przecież musi ksiądz utrzymywać stosunki z otoczeniem.

Gałek odezwał się: „Profesor to wszystko bierze bardzo praktycznie—nawet Pana Boga krytykuje“.

„O mój panie — rzekł Kuźma — jest bardzo dużo do skrytykowania. W teoryi to cała moralność ładna, ale w praktyce to jest absurd. Uczciwość — jeżeli wogóle jest—to tylko wywołana okolicznościami, bo to albo obawa przed aresztem albo też względy towarzyskie grają główną rolę w stosunkach codziennych. Dlatego każde małżeństwo musi się sobie sprzykrzeć zwłaszcza jeśli to są ludzie którzy mają dzieci a tylko jeden pokoik z kuchnią. No dość już tych ględzeń — panowie jesteście młodzi, a nie opowiadacie żadnego kawału—rzućcie już raz ten grobowy nastrój, czy tak czy owak zjedzą nas robaki—no opowiecie co? nie?—to ja dam początek a wy może opowiecie co nowego.

Był raz oficer, który miał służącego, bardzo starannego chłopa...

Otóż ten oficer miał pieska. Pewnego dnia piesek gdzieś zginął. Był wtedy wyjątkowo silny mróz.

Oficer wygnał chłopa, aby szukał psa i dla zachęty kopnął go w znane miejsce.

Sołdatyszka biegał ze 2 godziny na mrozie ale psa nie mógł odnaleźć.

Wraca tedy zmarznięty do mieszkania a oficer krzyczy: „A pies gdzie?“

„Nie ma“—„Won pałasata morda“ i buch

chłopa w pysk. Chłop zagryzł wargi i wyszedł na mróz.

W bramie czekał aż pan jego wyjdzie z domu. Nareszcie pod wieczór oficer wyszedł a nasz biedaczek wszedł do mieszkania i jak wściekły pies rzucił się na resztki jedzenia. Potem przewrócił się na sofę i marzył. Światła nie zapalał, bo w ciemności duch jego marzył o królestwie z innego świata. Wtem słyszy ktoś otwiera drzwi. Wracał oficer z damulką... Nasz słowianin—pod łóżko—tymczasem wszedl oficer z panną, zapalił lampę i pomagał pannie w rozbieraniu się. Potem na widok wdzięków szeptał do niej: „Ach Anna Piotrówna ja w waszej dusze cały świat widzę“.

Nagle z pod łóżka słyszy głos: „A naszej sobaczki nie widzicie Wasze Prewoschoditelstwo”?!

Towarzystwo roześmiało się, a K. powiedział:

„O jest humor! więc weselej dojedziemy.

Gałek przerwał mu:

„Proszę profesora, opowiedzcie jeszcze co dobrego“. „Hoho, widzę że Szanowny doktór zasmakował, owszem proszę; najchętniej opowiadam o wojskowych czasach, bo to niewyczerpana kopalnia łez ludzkich.

Miał być pewnego razu „smotr“ przegląd parada. Otóż w przeddzień takiej uroczystości, odbywa się gremialne bicie w „mordę“ i zastosowywanie innych wychowawczych środków. Przytem uczy się chłopów nazw swoich

naczelników, gdyż przełożonemu może czasem wpaść na myśl zadawać żołnierzom pytania.

Wreszcie na drugi dzień już o 4 rano zaczęło się ustawianie szeregów, próby rozmaitych zwrotów, oglądanie patrontaszy, torb i t. d.

Wtem słychać trąbki—jedzie generał. Zły jak djabli, gdyż lubił długo spać, robi przegląd i wymyśla ostatecznie wszystkim, probuje marsza paradnego — wszystko źle. Nareszcie o 9 słychać głos adjutanta, że figura nadjeżdża.

Komendy w rozmaitych tonach wiercą uszy chłopów, którzy nie wypuszczani z szeregów aż od 4 do 9 rano, zaczęli moczyć spodnie. Tymczasem wizytator wysiadł z powozu, przywitał niedbałym kiwnięciem głowy wyższych oficerów i z trudem wsiadł na konia który był tak spokojny i ugrzeczniony, że mógłby jechać przy karawanie.

Wizytator objechał szeregi i patrzył bystro, czy wszyscy kręcą za nim głowami, jak to było nakazane, aby przełożonemu patrzyć w oczy. Po chwili Brygadjer zsiadł z konia i przystąpił do jakiegoś żołnierza.

Generałowie i kilku oficerów wyższych stopni stanęło za księciem i słuchało z uwagą, jakie pytanie otrzyma żołnierz.

Brygadjer zapytał:

„A poczem ty by poznał generała?“

Generał, za figurą stojący, pokazał żołnierzowi epolety, a sprytny chłop krzyknął „Po epaletach Wasze Prewoschoditelstwo”.

„Ładno“ odparł brygadjer — no a jakby

generał miał płaszcz na sobie, to po czem ty by poznał?

A, a?..

Żołnierz zdębiał, ale patrzy na generała, który mu pokazuje ręką na nogi (na spodniach były czerwone lampasy).

Chłop odzyskał przytomność i zawołał:

„Po krywym nogam“.

Biedaczysko źle zrozumiał znaki generała i pomyślał zupełnie, co innego.

Brygadyer miał wybitnie krzywe nogi — więc wściekły huknął chłopa w brzuch i odszedł dalej zły. Przelotny uśmiech błysnął na twarzach oficerów, którzy pobiegli za figurą.

„A to doskonałe mój panie“.

„Tak tak, nie zawsze jest tak wesołe te życie. Miałem w mojem oddziele szewca Bilińskiego. Powołano go jako rezerwistę na ćwiczenia. Dobry był z niego chłop i żołnierz. Prostej kondycyi a zacna dusza. Otóż ten szewc, przez którego nawiasem mówiąc straciłem szarżę zapasowego chorążego, zostawił w domu żonę i czworo dzieci. Prosił tedy mego kapitana, aby mu pozwolił codzień po służbie o 6 wieczorem iść do domu i połatać niektóre kawałki, aby co nieco zarobić na życie podczas tych ćwiczeń. Niestety tu właśnie zaczyna się ta głupia ale i tragiczna historya — kapitan nie tylko nie pozwolił ale co więcej zaczął mi robić wymówki, że ja zanadto jestem wolnomyślny jak na zapasowego oficera i że on o tem sobie zapamięta.

Z natury, a właściwie z tresury życiowej

przyzwyczajony byłem do milczenia — nic mu na to nie odpowiedziałem ale zaczęła mnie ta głupia zarozumiałość pana kapitana drażnić. Zacząłem wypytywać się innych oficerów o zdanie, jakie mają o kapitanie Tłuku, a ci opowiedzieli mi, że to był dawniej student uniwersytetu, który potem rzucił wyższy zakład i stał się nadgorliwym i nadlojalnym. Tymczasem Tłuk zaczął mi dawać do poznania, że jestem w jego mocy. Najpierw zapytywał diadkę, czy ja zaraz po odczytaniu rozkazu o 6 popołudniu wychodzę na miasto. Kiedy dowiedział się, że ja nietylko wychodzę zaraz po odczytaniu rozkazu ale nawet bardzo często jeszcze przed rozkazem zawołał mię do siebie i zaczął kazanie: „Mój panie, pan stanowczo wpływasz źle na żołnierzy — (teraz głos podniósł) tu nie jest uniwersytet, tu jest dyscyplina, tu nie ma żadnego liberalizmu i tym podobnych objawów, żadnych tego panie... panie... pana nic nie obchodzą rozkazy, czy pan odbywał rewizyę mundurów, może pan pozwala żołnierzom czytać gazety—a no chodźmy zobaczyć jaki to porządek panuje w pańskim oddziele. A, a?..

Cóż pan nic nie mówi?

„Na tyle zarzutów nie mogę tak odrazu replikować — to wymaga omówienia?! „Cooo?! dyskusyi“ — pan chcesz z przełożonym dyskusyi, pan się zapomina, gdzie subordynacya — pan myśli, że ćwiczenia toby przez 4 tygodnie pić z kolegami. No posłuży pan 6 razy tyle... idę — pan za mną! Wyszliśmy do szopy i namiotów, gdzie obozował mój oddział. Miałem

wtedy pod swą opieką 46 ludzi! niestety — pierwszy nawinął się Biliński.

„Biliński gdzie twoje rzeczy — pokaż najpierw menażkę. W menażce była zupa, mięso i kawał chleba.

„A to co—naczynia nie wymyte. „Melduję posłusznie to zachowałem dla dzieci — jak przyjdą, po rozkazie chcę im oddać? Aaa — patrz pan, to u pana taki porządek—won pod studnie z jedzeniem“. Teraz odezwałem się do kapitana: „Panie kapitanie to naprawdę biedak, on nie kłamie“.

„Co pan mi tu będzie gadał! Ja wiem swoje! a bydło nieoskrobane — po odczytaniu rozkazu godzina ćwiczeń! a pan jutro do batalionowego raportu.

„Ależ panie kapitanie“.

„Milczeć!” Wtedy zawołałem wściekły z oburzenia „To świnstwo“.

„Aha“—syknął kapitan „na odwach kapral zaprowadzi!“ „A niech dyabli porwią ten zaszczyt i mnie z wami“.

Zostałem tedy zamknięty. Rano wezwano mię do pułkownika, ten odrazu krzyknął na mnie: „To pan potrafi tak postępować, to pan tak szanuje godność oficera! to panie za takie gniewy i niesubordynacye 6 lat twierdzy grozi! Aha panie student teraz będzie inna filozofia!

Ostatecznie czułem, że o wyjaśnieniu kwestyi nie może być na razie mowy. Siedziałem na odwachu, nudziłem się piekielnie—zacząłem pić. Mój Biliński i inni żołnierze dawali mi dowody sympatyi przynosząc różne druki. Te

naiwne w swej nienawiści ustroju społecznego odezwy działały wtedy na mnie tak silnie, że postanowiłem sobie przez całe życie je rozszerzać. Tymczasem po 3 dniach wezwano mię przed sąd wojskowy. Stary audytor patrzył na mnie zmrużonemi oczkami, obok niego siedziało dwóch innych wojskowych sędziów — zdala zaś siedziało około 30 oficerów mego pułku. Jak się później dowiedziałem oficerowie po większej części byli dla mnie dobrze usposobieni. Audytor odczytał oskarżenie polegające na tem, że wpływ mój jest na żołnierzy szkodliwy, gdyż po pierwsze nie daję przykładu zamiłowania w służbie, po drugie przez palce patrzę na czytanie pism przez żołnierzy, po trzecie kapralom kilkakrotnie zwróciłem ostro uwagę, że nie pozwalam na „brutalne i nieludzkie traktowanie ludzi, że wreszcie w sprawie szewca B. okazałem się raczej rewolucyonistą niż oficerem. Wobec takich przewinień powinno się zamknąć mię na 3 miesiące twierdzy, jednakże ponieważ nie było niesubordynacyi tylko objaw uniesienia, przeto sąd daje mi ostatecznie możność wypowiedzenia swych poglądów, w celu własnej obrony.

„Proszę niech pan mówi".

Spojrzałem na oficerów — kilku z nich dawało mi oczyma znak, że należy wystąpić śmiało.

Wstałem tedy przed sądem — odłożyłem paradną czapkę i rzekłem:

„Sprawa, o którą mię wezwano przed sąd

jako też zarzuty skierowane przeciw mnie są przedewszystkiem niejasno sformułowane.

Kapitan Tłuk był od początku ze mnie nie zadowolony—nie chciałem żadnego użytku z jego postępowania ze mną robić, gdyż czas ćwiczeń zapasowych jest krótki a nadto wiedziałem dobrze o tem, nigdybym pana kapitana nie przekonał — nawet, gdybym miał zdolności literackie Kuprina.

Jednakże teraz, kiedy w gronie oficerskim jestem, to powiem panom mój pogląd.

Wojskowość — jako konieczność utrzymywana z krwi i potu ludzi pracy — wojskowość powtarzam wsysająca w swe ramiona rok rocznie kilkadziesiąt tysięcy jednostek, powinna być taką, aby wstąpienie w jej kadry nie przyjmowano łzami, przekleństwem i pijatyką na zabój ale powinna stać się szkołą. Nie drogą bicia w pysk i kopania w brzuch, ale drogą sprawiedliwej miłości, powinno się iść do dusz tych białych niewolników społecznej konieczności.

Obok pedanteryi w służbie powinna oficera zdobić pewna rycerskość, to co anglik określa słowem gentelman. Ani armia ani cały nasz pułk nicby nie stracił na tem, gdyby zapasowy kapral poszedł o 2 godziny wcześniej do domu i małymi zarobkami dał rodzinie na krytyczny czas ćwiczeń kawałek chleba. Czyż nie byłoby piękniej przyjść takiemu biedakowi z pomocą — czy jeżeli naprawdę kocha się tron — nie oddałoby się lepszej przysługi i nie zyskanoby serce pełne wdzięczności i tem bardziej oddane! Nie—tylko chęć dokuczenia— a tak chęć

dokuczenia, skłoniły pana kapitana do tego, że odmówił prośbie — tak uczciwej i zacnej.

Raz w nocy wracałem blisko koszar z knajpy i spotkałem jakąś dziewczynę—wołałem do niej. Hej panno może razem pójdziemy. Zbliżyłem się do tej nieznajomej, w tem uderzyło mię to, że dziewczyna smutna—„A ty czemu smutna? głodnaś czy co? Co ty za jedna masz książkę? „Nie panie oficerze, ale mąż odbywa zapasowe ćwiczenie i zacoś tam przedłużyli mu karę na 2 miesiące, więc ja się kręcę koło koszar a nuż jaki oficer się moją sprawą zajmie.“ Tak panowie to nie sentymenty! jeżeli więc memu żołnierzowi nie wolno było iść po skończonej służbie do domu i uczciwie zarobić, to karać chłopa za to, że zostawił trochę jedzenia dla rodziny, dla dzieci, a sam pomimo takiej ciężkiej służby nie zjadł tak marnego posiłku! to ja panowie uważam taki czyn tego chłopa za objaw szlachetności, bo ja cenię tego kaprala, bo to człowiek naprawdę kulturalny, pomimo braku patentu—to nie cham z patentem ale dzielny człowiek. Sądzę, że każdy z panów, jeżeli bezmyślna formalistyka nie zaskorupiła mu jeszcze całkowicie duszy, przyzna mi, że określenie postępowania pana kapitana zostało zupełnie sprawiedliwie przezemnie ocenione“.

Byłem wtedy moi panowie młody, zapał mię unosił.

Skutek mojego zapalu był wkrótce widoczny, kazano mi wyjść z pokoju — aby bez-

stronnie naradzić się nad oceną mojego przestępstwa. Ponieważ jak się później o tem dowiedziałem młodzi oficerowie okazywali mi dużo sympatyi przeto oni dostali srogą naganę a ja zostałem uznany za niegodnego godności oficerskiej a więc pozbawiony stopnia. Ostatecznie byłbym może nic sobie ztego nie robił, gdyby nie zbyt przykre następstwa. Najpierw lubiłem wojskowość i romantyczne życie oficerskie, potem kazano mi odbywać ćwiczenia jako prostemu szeregowcowi. Taki przeskok bolał już bardzo namacalnie. Obok ludzi, którzy mię dość lubili, zobaczyłem zdziwiony, że to sprawia niektórym wielką przyjemność, iż mogą dokuczać strąconemu z wyższego stopnia. Pierwszy raz uderzyła mię boleśnie ta niewdzięczna strona ludzkiej natury. Przekonałem się, że jeżeli niektórzy oficerowie mówili, iż rekruci to bydło i trzeba ich w okrutnej surowości, w takich przysłowionych jeżowych rękawicach trzymać, to znowu oni nie tak bardzo się mylą — Niestety wszystkie te refleksye były 5 minut zapóźno. Zaczęły mi się, jakby na tem większą złość przypominać słowa babuni „Kto nie słucha ojca matki, ten słucha psiej skóry" „Pokorne cielę, dwie krowy ssie" i t. d. Przysłowia illustrujące potrzebę taktu w życiu czyli umiarkowanej podłości. Nareszcie los pomógł mi, dostałem kolek i musiałem iść do szpitala. Tu poraz pierwszy odczułem, co to znaczy pomoc lekarza wojskowego. Opinia o nich znana panom—to są okazy ludzi, którzy dla tego codziennego żłobu stracili własne zdanie, własny

sąd, to są ludzie, którzy lekceważą człowieka bardziej niż się lekceważy bydlę!

A tak panowie, otóż przychodzę do szpitala. „Co jest?“ „Mam kolki i łamania“ „Pietrow rycyna“. Tu zaczyna się tragi — farsa. Doktór kazał zawsze dawać każdemu przychodzącemu po poradę najpierw łyżkę oleju. Podanie lekarstwa odbywał w ten sposób. Chory stoi wyprostowany przed lekarzem: „Roztwórz ryło, raz! — gdy chory rozwarł jak mógł najszerzej usta, doktór wołał „Pietrow — wali“ na te słowa felczer brał dużą łyżkę oleju rycynowego i lał w gardziel, żołnierz zamykał instyktownie usta i albo łykał albo dostawał wymiotów. W pierwszym wypadku otrzymał rozkaz, aby się zjawił za 3 dni — a w książce z chorymi zapisywano—symulant, w 2-gim wypadku wyrzucano chorego za drzwi i dopiero po wymiotach — dawano mu pozwolenie na przebywanie w szpitalu ale na tak zwanej dyjecie. Dyjeta polegała na wydawaniu bardzo małych porcyi jedzenia, aby wygłodzić chorego. W ten sposób starał się doktór usuwać „symulantów“.

Oczywiście, jeżeli który naprawdę bardzo już był chory, wtedy posyłano go do dużego szpitala, ale w pułku dawano w ten sposób poznać dzielnym żołnierzom, że dba się o nich tyle, co pies o piątą nogę.

Oczywiście skutek postępowania wyraźny, albo sroga nienawiść albo obłudne udawanie i radzenie sobie w sytuacyach życiowych, bo proszę panów, wszędzie można dać sobie radę,

jeśli tylko ma człowiek giętki kark, giętkie sumienie czyli tak zwany spryt. Wtedy i Pan Bóg pomaga, bo krętaczowi zawsze wygodniej na świecie.

Znałem żydka, który przy wojsku „jako golarz pieniądze zarobił, znałem krawca, który nawet na miasto robił czapki i kamizelki, ho ho! A jednak musi tak być, bo sytuacya wywołuje symulantów i tak z jednego wpada się w drugie.

W czasie pokoju chłop nie stanowi wielkiej wartości, co rok pobór, co rok nowe siły więc nie potrzeba się z tym tłumem liczyć. Co innego „koń“. O konia może być gruba awantura — koń kosztuje, trzeba go kupić!

Mój kolega odbywał razu pewnego jeszcze jako ochotnik służbę nocną w stajni. Nagle klacz padła i zdechła. Na 2-gi dzień rano przyszedł rotmistrz i gdy się dowiedział o stracie konia, tłukł żołnierzy szpicrutą a nawet mego kolegę niby przez nieuwagę ściągnął batem.

Zdarzyło się że na drugą noc żołnierz się zastrzelił. Zastrzelił się tak rozpaczliwie, spokojnie—cicho jak męczennik. Widocznie w nocy, gdy stał na warcie, przypomniał sobie w całej pełni marne i nędzne swoje życie — przypomniały mu się wyraźnie obelgi i, przekleństwa, wyzwiska, i żal i łzy zaczęły dławić mu gardziel. A więc zdjął but, przyłożył duży palec do kurka lufy przystawił do gardła — pocisnął i koniec... jedno życie mniej.

Na drugi dzień rotmistrz nawet nie zwymyślał nikogo, tylko wypytał diadkę „A może

kto dokuczał nieboszczykowi“ „Nikt podług rozkazu“ „A czy listów nie zostawił” „nie“ to wynieść co prędzej—i troszkę więcej· miłości dla ludzi diadka, bo mi na ciebie zaczynają się skarżyć. Ja rozumię, bijesz tylko w cztery oczy, no ale uważaj!

Bo trzeba panom wiedzieć, że teraz bić nie wolno—ale w cztery oczy można porozmawiać z żołnierzem. Rozmowa polega na tem, że feldwebel woła żołnierza do pokoju, wali go po twarzy i wyrzuca za drzwi, a że świadków nie ma, więc i kary nie ma.

Swoją drogą teraz po latach widzę, że musi być tak surowo, bo inaczej rozprzężenie.

No dość już panom opowiedziałem może, który z was, co opowie, jeszcze mamy ze 2 godziny jazdy. „Gałek odrzekł: „Chwała Bogu“ że profesor znami jedzie, umie pan opowiadać i czas jakoś upływa — ja nie umię opowiadać ale widzę jasno, jakie straszne zmory duszą ludzkość. I to takie smutne, że na te nieszczęścia nie ma lekarstwa prócz sprytu. Bo przecie wiemy, ilu to potrafi się zgrabnie wykręcić i to nawet tanim kosztem, a my bez sprytu i floty zawsze służymy za podkład wyzysku dla drugich.

Podczas opowiadania K., gromadka osób skupiła się koło nich a jakiś student rzekł. „Pozwolą panowie to i ja panom opowiem facecyę — nie zbyt zabawne ale zdaje mi się na czasie. Był raz król—lew, otoczony dworem nie lubił, aby go przebudzały z upojenia władzą jakieś niesforne głosy czerwonych ko-

gutów. Zwołał tedy naradę ministrów, słonie, wołów, owce, hipopotamów i zapytał o środek na te niesforne objawy. Uchwalono przyłożyć siekierę do korzenia i wypędzić radykalnie wszystkich buntowników. Kazano tedy w całem państwie mordować koguty, niewygodnych krzykaczy i na 2-gi dzień była cisza i nikt nie przerywał spokoju—wszystkim się wydało jak dobrze, jak spokojnie władza Boska z ludzką w związku działają. Po kilku tygodniach słodkiej drzemki odezwał się, o zgrozo, głos koguta! Jeden, drugi, potem coraz więcej...— Jakto zawołał wściekły król — lew, — to panowie tak spełniacie moje rozkazy, to ja tak mogę na waszem zaufaniu polegać?! O! dobiorę sobie innych pomocników, którzy zniszczą z kretesem tych krzykaczy buntowników! „Ach królu, zawołał minister—słoń, wymordowaliśmy pokolenie buntowników — ojców, ale zostało pokolenie synów, i w taki sposób odżyły ich idee.

Rozumiecie mię panowie — zapytał student. Lechowski rzekł z zapałem: ,,Piękna myśl w tem opowiadaniu, jak długo będzie ludzkość, tak długo będzie nieśmiertelna walka o prawa lepsze! o lepsze jutro!

Gdy przyjechali do Warszawy — odrazu zwrócili uwagę na zmniejszony ruch uliczny, na wszystkich twarzach była niespokojna troska i lęk. Był to rok 1905. Profesor Koźma zaprosił młodych znajomych do siebie. Powiedział do nich:

„Mieszkanie moje teraz puste bo rodzina wyjechała — po nocy niemiła to rzecz tłuc się

po ulicach miasta, gdzie na każdym kroku można spotkać się albo z kulą albo z jeszcze gorszą sytuacyą bo z rewidowaniem paszportów lub zaprowadzeniem do „części". Proszę panów do mnie — może to będzie zabytek starej polskiej gościnności a może obawa, abym sam nie spotkał się z jaką nie miłą przygodą.

Lechowski odrzekł na to:

„Czyn pana prawdziwie wielki — nie ma pan pojęcia z jak wielkiego kłopotu nas pan wybawił — najwstrętniejsze to uczucie bezdomnego psa.

„Przypomina pan sobie słowa pełne skargi. Lisy mają nory... Otóż mój młody Panie, ja rozumię doskonale ból ludzki—nie umię tego tak wypowiedzieć, co czuję... ale proszę jedziemy"!

Nazajutrz o 9 rano był Lechoń z Gałkiem w kancelaryi dyrektora szkoły. Szkoła mieściła się w prywatnej kamienicy — i oczywiście nie posiadała żadnych warunków hygienicznych potrzebnych dla tak wielkiego zgromadzenia uczniów.

Doktór Gałek zauważył: „Już odrazu musiałbym pisać satyrę na takie warunki — ale wiem, że to początek nowej pracy. Trzeba będzie zaradzić złemu". Do kancelaryi, w której siedział sekretarz przychodziły mamusie z dziećmi.

„Mój drogi rzekł L. ja nie mogę bez wzruszenia patrzeć na te wypadki—patrz z jaką radością to wszystko się garnie — jakaż to roskosz mówić swobodnie własnym rodzimym językiem!

Gałek przegryzał wargi, aby nie wyjawić

swych uczuć — ale widać było po nim wzruszenie. Jednakże pesymizm żarł już duszę, wreszcie powiedział: „Zaiste na razie to wcale miłe, ale jak te wszystkie mamy zaczną tutaj rządzić—jak ci zaczną krytykować lekcye“.

„Eee—daj spokój—musi prawda i szczęście pokonać mroki“. W tem otworzyły się drzwi od pokoju dyrektora Brzeskiego; dyrektor rzekł do Lechowskiego: „Witam drogiego Pana—proszę do mnie“. Uradowany L. wszedł do małego gabineciku zwanego kancelaryą dyrektora. Kancelarya ta przerobiona z małego prywatnego mieszkania, miała zwyczajne szablonowe urządzenie.

Duże biurko zajmowało środek pokoju. Bokiem przesunął się dyrektor i zasiadł za biurkiem — wskazał równocześnie krzesło Lechowskiemu.

Na bocznej ścianie wisiał duży kalendarz— a na ścianie środkowej wisiał portret urzędowy.

„A więc doktór przyjechał wczoraj—bardzo się cieszę, gdyż czeka nas olbrzymia praca. Jednakże z góry uprzedzam drogiego pana, że trzeba będzie ogromniej dozy taktu i cierpliwości.

Teraz jest taki czas, że każdy z naszych chłopców stanowi cząstkę jakiejś partyi politycznej. Głównie dzielą się na tak zwanych narodowych demokratów i socyalistów, pierwsi mogą to być konserwatywni, drudzy postępowi. Tak samo rodzice naszych chłopców, każda rodzina chce przedstawiać jakieś stronnictwo. Już widzę teraz jasno, co za walki mogą pow-

stać. Najprzód Szanownemu panu mówię — w szkole, gdzie ja będę dyrektorem niema ani partyi, ani polityki, jest tylko *nauka!* tylko nauka podkreślam to, bo Szanowny pan będzie wykładał literaturę i historyę Polski — ażeby więc nie było żadnych nieporozumień“.

„Oczywiście Proszę Pana Dyrektora zastosuję się do jego wskazówek—na razie nie możemy wyraźnego programu działania układać—jestem tak szczęśliwy, że dożyłem tej chwili“.

„Haha, widzę że z pana romantyk, niech pan mi daruje ale nie trzeba się tak różowo na te sprawy zapatrywać, bo potem mógłby pan być rozczarowany. Ja osobiście mam odmienny pogląd na to wszystko. Jestem już stary i widziałem w Królestwie dużo — dlatego, że nie wierzę zbytnio ani w trwałość tych ustępstw ani też w praktyczną stronę szkoły, jeżeli ona nie daje praw państwowych, ale o tem pomówimy jeszcze—Sz. Pan będzie miał nadto Zarząd biblioteką. Właściwie pozbawiamy się dobrowolnie broni, bo np. uczeń zdał prywatną maturę—a więc bądź co bądź 8 lat się mordował. Teraz zamiast wakacyi musi znowu kuć. Oczywiście obawa przed wojskiem powiększa zdenerwowanie. Uczeń nie zdaje—bo na 100 zostaje 2—3 a więc nowa nauka i wyjazd do Cesarstwa. Nowe marnowanie czasu i pieniędzy.

Jeżeli wreszcie uda się to zostając w Cesarstwie przesiąka innym wpływem, najczęściej pod wpływem obcych rozpaczliwych teoryi rozpija się, żeni i jest stracony lub obojętny.

Ale dajmy na to, że nie potrzebuje praw, więc jazda do Galicyi, Niemiec lub Paryża. Tam swoboda — politykowanie — rezultat syfilis—apatya, czwarta emigracya, strata dziecka.

My musimy być realistami... No ale teraz żegnam, bo mam mnóstwo spraw do załatwienia.

„Przepraszam rzekł Lechowski, mam jeszcze prośbę a mianowicie mam kolegę doktora medycyny Gałka, czyby Sz. pan dyrektor nie raczył mu dać miejsca — sądzę bowiem, że teraz właśnie potrzeba ludzi do pracy! „Owszem — jeżeli kolega ten ma pańskie rekomendacye, to proszę go przysłać do mnie".

„Jest w kancelaryi".—„To proszę'.

„Lechoń wybiegł i rozpromieniony wezwał Gałka: „Chodź bracie, dyrektor chce cię widzieć!"

„I owszem" rzekł Gałek i wszedł do kancelaryi Dyrektora. Brzeski podał mu rękę i odrazu rzekł: „Kolega wspominał mi, że Sz. Pan jako doktór medycyny chce u nas pracować—otóż ja chętnie się zgadzam—chociaż zasadniczo lekarz szkolny w tych warunkach to ironia — ale pogadamy o tem. Czy Sz. Pan mógłby co jeszcze wykładać — szukam nauczyciela języka franc.

Owszem władam tym językiem i proszę o parę godzin, bo z początku będę miał małą praktykę, a trzeba mi na życie około 50 rb. miesięcznie".

„Hoho to doskonałe mało doktorze — mało—ale jesteś młody i pełen illuzyi!

„Nie nie — tylko mam inne cokolwiek poglądy na życie".

„No to o tem potem a teraz dowidzenia— panowie“.

Gałek i Lechowski wyszli uszczęśliwieni i postanowili rozejrzeć się w szkole. Szkoła utworzona z prywatnej kamienicy — miała klasy przerobione z mieszkań—pokój nauczycielski dość duży ale ciemny. Sali rekrecyjnej nie było. Podwórze wysypane zwirem i piaskiem nie miało ani jednego drzewka.

Poszli do pokoju nauczycielskiego, był tam już stary Kuźma i powitał ich wesoło „No jakże nasz Jowisz was przyjął”. „Bardzo szczęśliwie, jestem magnatem, rzekł Lechoń — miły człowiek nasz dyrektor, tylko zbyt dziwne ma przekonania jak na dyrektora naszej szkoły. „O nie! przeciwnie ja wolę panie kochany takiego człowieka, który z pewną zimną rozwagą idzie do dzieła niż fanfarona z frazesami miłości ojczyzny na ustach. Nasz Jowisz to sława naukowa—narwany ale niezwykle prawego charakteru. Panie o nim anegdoty opowiadają jak o Radziwille – panie kochanku. A teraz poznam was z innymi kolegami. Przeważnie są to ludzie, którzy dotąd pracowali w rosyjskich szkołach a teraz wstąpili do prywatnej szkoły. Są tu także i tacy, którzy nie mieli powodzenia jako adwokaci, inżynierowie i wkręcili się na pedagogię—na to niema rady—na polskiej budzie zarobią rozmaite mydłki“.

Nastąpiło konwensyonalne witanie się. Wśród tych nowych panów poznał Lechowski aż 3 prefektów o bardzo charakterystycznym

wyglądzie. Jeden z nich Dobrski, stary, już miał wygląd inkwizytora.

Był on długie lata prefektem w gimnazyum państwowem, miał kilka orderów, płakał podczas kazań i wiedział o wszystkich zebraniach uczniowskich. Posiadał własną armię wywiadowczą, który stwarzał w ten sposób, że wybierał sobie w każdej klasie jednego ucznia, biednego, którego uwalniał od wpisu, dawał z kasy szkolnej mu na książki i tem chłopaka zobowiązywał. Chłopcy ci zbierali się co niedziele po mszy u niego na śniadaniu i mówili, kogo nie było na nabożeństwie, co teraz koledzy czytają, o czem mówią, na co się oburzają; czy jakiś nauczyciel nie traktuje liberalnie nauki religii, czy nie sieje zarazy zgorszenia i t. d.

Drugi prefekt Pazdzierski — był specyalistą od uroczystych obchodów i przygotowań do pierwszej komunii. Uczniowie musieli w takiej chwili mieć białe rękawiczki, bukiety na surdutach ze sztucznych konwalyi. koniecznie musiał być biskup, śniadanie dla kolegów—nauczycieli i obrazki dla uczniów. Dla synów dyrektora lub dla dzieci z tak zwanej lepszej klasy były obraki efektowne z osobistym podpisem. Marzeniem jego były jawne sodalicye, na które niestety nie pozwalano. Zawsze słodko uśmiechnięty, wyperfumowany miał przezwisko od uczniów „delikacik“. Dobrskiego nazywał Kuźma „Torquemadą“.

Trzeci prefekt Trepa był ulubieńcem uczniów, ich matek i nauczycieli. Gruby jak

beczka, czerwony jak burak przedstawiał typ rubaszny proboszcza ze wsi.

Dla każdego miał zawsze coś wesołego do opowiedzenia. Nauczycielom opowiadał kawały ze spowiedzi, uczniom dawał rozmaite prezenta jak np. czapki i baszłyki, które otrzymywał od bogatych matek, zawsze interesujących się duszpasterzem, szerszej publiczności był znany z kazań mówionych donośnym głosem z nigdy nie słabnącym zapałem.

On też był zawsze pochopny do wszystkich wycieczek z uczniami, w domu urządzał śniadania, które trwały dwa dni z rzędu, miał kufer napełniony najrozmaitszemi cygarami.

Najlepsze kawały pochodzą od Trepy—raz opowiadał o dużej łyżce ,którą schował koledze pod prześcieradło w jego łóżku podczas wizyty a ten o tem nie wiedział przez trzy tygodnie, bo nie spał biedaczek u siebie i tak sromotnie się sam zdradził. Innym razem opowiadał o tem, jak młoda mężatka pytała go w konfesyonale, czy to wolno jej brać do ręki czy nie... jednem słowem w najsmutniejszej sytuacyi bawił humorem i był przez wszystkich lubiany prócz Dobrskiego i Paździerskiego.

Teraz również wlazł między nauczycieli a mianowicie, między Sopkę, nauczyciela gimnastyki, Goldera, nauczyciela religiiżydowskiej i Waksa, nauczyciela religii protestanckiej. Zaczęli co chwilę wybuchać śmiechem, komentując pismo Starego Zakonu, w którem, mówił Trepa, więcej kawałów niż u Potockiego lub u Reja.

Kuźma zwrócił Lechowskiemu uwagę na Sławka, nauczycieli chemii i Rudecką, nauczycielkę polskiego.

Było to—jak on ich określił, kółko samochwalenia się i adoracyi. Sławek miał długą brodę i nadawał oczom wyraz bezkresnej zadumy. Rudecka miała trupią twarz, na której odbijały 2 plamy niebieskich okularów, chuda przeraźliwie, mełła językiem jak trajkota. Przy nich siedział stary Foks — apatycznie patrzący na swe brudne paznogcię i Kłosek, adwokat bezdolności, który został teraz inspektorem szkoły i postanowił wprowadzić niezwykłe reformy.

Nauczyciele zebrali się rano, gdyż wieczorami nie było bezpiecznie wracać zpowodu rewizyi policyi lub napadów.

Sesya miała być o dziesiątej.

Wkrótce przyszli dwaj nauczyciele rosyanie: Nikołajewskij i Karskoj. Pierwszy z nich zawsze mawiał o sobie: „Ja prosty człowiek — ja tam nie przyjmuję nowości“ a był spryciarz jakich mało — drugi Karskij, objawiał zawsze swoje postępowe poglądy, ba nawet przewrotowe, ale tylko przy wódce i sałacie z pomidorów.

Sławek zaczął rozwodzić się nad Wyspiańskim. „Ach to niezwykły mistrz, to więcej niż Mickiewicz, niz Słowacki i Krasiński, co za wizya okrazów, co za plastyka, co za mistyka, jakie rzuty — jakie refleksye. Wtórowała mu Rudecka. „Ja zakładam właśnie sekcyję literacką oczywiście pociągniemy naszą młodzież do

krynicy poezyi—nie można już zamęczać umysłów tak klerykalnym Kochanowskim lub Skargą. Należy zacząć literaturę od doby najnownajnowszej — a na dawne czasy wystarczy rzut oka, krótki szkic".

Sławek na to:

Ach tak—trzeba poświęcić pół roku w klasie na samego Wyspiańskiego, ale czy nasz dyrektor uzna naszą myśl—to zbyt realny człowiek! Kłosek dodał: Ja będę popierał pana, zobaczymy czy my—czy on wygra. W tem wszedł Brzeski — zasiadł do stołu i rzekł: „Witam Szanownych Kolegów—zaczynamy nowy rok szkolny.

Od chwili opuszczania szkół pańtwowych zaczyna się nowy okres.

Nie możemy na razie przewidzieć jaki obrót weźmie nasze szkolnictwo, to tylko dla nas pewne, że trzeba w nowej uczelni pracować energicznie. Z góry oświadczam, że pracować trzeba nad naukową stroną szkoły a nie zatrzymywać się nad polityką. Szkoła nasza ma subsydyum ze strony obywatelskiej a więc odpada nam główny kłopot szkoły prywatnej, to jest liczenie się z uczniami dlatego, że ten uczeń płaci wpisowe. Jestto ogromne ułatwienie dla zachowania karności szkoły.

Prezes rady opiekuńczej p. Silbertopf przyjdzie dziś na posiedzenie, a my tymczasem załatwimy kilka kwestyi. W tem wszedł pan Silbertopf. Pan ten—figurka mała, z żydowskim wyraznym typem, a więc z dużym hakowatym nosem, pretensyonalny w ubiorze i w manierach, dawał wyraźnie do poznania, że jest miljonerem.

Po przywitaniu się z nauczycielami wyjął złotą papierośnicę, i prosił, aby pan dyrektor zechciał dalej prowadzić posiedzenie. Otóż mówił Brzeski, teraz jest kwestya programu.

Odrazu prosili o głos Sławek i Rudecka. Rudecka rzekła: „Program języka polskiego, mojem zdaniem musi być zupełnie zmieniony. Należy raz już zerwać z szablonem przysłanym nam z marnych rządowych szkół galicyjskich i stworzyć nowy własny odpowiedni dla Królestwa. Pocóż nam grzebać się w dawnej literaturze tak nudnej jak literatura Reja i Kochanowskiego, my musimy trzymać rękę na pulsie życia społecznego i chłonąć poezye nowe, nowe przejawy ducha, jak mówi niezwykły Feldman, gdzie nie tylko herbowni panowie mieli prawo do pióra ale i lud i ten nowy a dotąd wzgardzony stan — robotnik!"

Słowa R. wypawiedziane ze swobodą zrobiły wrażenie zwłaszcza na panu prezesie, który był dumny z takiego postawienia kwestyi. Brzeski zapytał: „Kto z panów chce odpowiedzieć lub co dorzucić do słów pani R. Pan Sławek prosi o głos—proszę:

Sławek rzekł: „Dla słów pani R. muszę wyrazić same pochwały — jest to najwspanialszy punkt widzenia."

„Ja także", rzekł Kłosek.

Lechowski podniósł rękę i rzekł: Proszę o głos! Przepraszam, że nie mogę podzielić tego wspólnego zapału. Przepraszam, że użyję tu wyrażenia ostrego lecz jest ono koniecznem.

Sz. Pani nie rozumie znaczénia literatury polskiej.

Nie można w szkole średniej zacząć od literatury najnowszej, jakkolwiek może bardzo ciekawej, ale dla naszej młodzieży na razie zbytecznej. (Podczasz tego Lechowski zauważył, że Silbertopf, Sławek i Rudecka wyrażali mu ironiczną pogardę.) Program języka polskiego ze szkoły średniej w Galicyi musi być choćby z tego względu dobry, że tam wolno było uczyć się języka polskiego, a więc ciągle ten program uzupełniano i poprawiano.

My musimy studyować literaturę w wyższych klasach to jest od klasy piątej w ten sposób, że najpierw będzie literatura średniowieczna, zabytki, potem okres złoty, potem okres jezuicki. W szóstej klasie, okres reformy politycznej i początek romantyzmu, a w siódmej, trzech największych poetów i trochę nowszej literatury w oględnych wyjątkach.

Jakżeż można tak obojętnie traktować cały poważny dorobek umysłowy, jakżeż można widzieć w naszej literaturze do XIX wieku tylko same szlacheckie induwidualności czyż nie było *satyry*, czyż można widzieć w literaturze naszej tylko kastowośc.

Z góry zastrzegam się, że nie chcę potępić czytania literatury najnowszej doby—ale stanowczo twierdzę, że program dawny jest dla uczniów szkoły średniej odpowiedniejszy a nawet uczciwszy!

Już podczas mowy Lechowskiego, Rudecka i Sławek chcieli mu przerwać a Silbertopt

ostentacyjnie uśmiechał się do Kłoska i Sławka jakby chsiał wzrokiem powiedzieć „Jakże głupim jest ten pan” gdy zaś Lechowski skończył, wszyscy zwrócili się do Brzeskiego z prośbą o głos ale Brzeski odrzekł: „Co do programu to będziemy się trzymać takiego jaki już ułożyliśmy, gdyż taki ja, jako kierownik szkoły, uznaję za odpowiedni. Pan Sławek może prosić o zmianę w programie chemii, gdyż chemia jest jego fachem, pani R., uczy w niższych klasach, gdzie chodzi o poprawność w pisaniu i czytaniu. Ja jeszcze raz zaznaczam Sz. państwu, że my znamy szkołę średnią a nie jakieś nibyto uniwersytety.

W tem rzekł Silbertopf z wyraźnem niezadowoleniem:

„Dziwi mię pogląd pana dyrektora — ale trudno — jeżeli pan nie chce ustąpić to wobec takiego stanowiska w tej kwestyi...

„Przepraszam bardzo pana prezesa, ale uwzględniać muszę wszelkie te poglądy, które dla całości są potrzebne.

Odrazu mógł Lechowski zauważyć, że całe grono obecnych nauczycieli rozpadało się na dwie wybitne grupy. Pierwsza, najważniejsza w swej kreciej i niszczącej pracy to grupa pana prezesa Silbertopfa, Sławka, Kłoska i Rudeckiej, to bractwo wzajemnej adoracyi miało za sobą siłę materyalną, gdyż ulubieńcom swym pan prezes udzielał łaskawie posłuchania, przyjmował ich w swoim pałacu, urządzonym z arabskim przepychem a nadto udzielał zapomóg tytułem zasiłku dla dalszego kształcenia się.

Pan Silbertopf był milionerem — żydem, który niedawno zdał zagranicą doktorat chemii, a gdy wrócił do kraju, zaczął dalej prowadzić interesy ojca, dwie olbrzymie fabryki.

Przykro mu było, że stary jego ojciec chodzi jeszcze w hałacie i zanadto po nim znać początek owocodajnej fortuny. Syn jego już odebrał wysokie, możliwe za pieniądze wykształcenie,. zajmował się literaturą polską, kupował książki, lubił dyskutować po kolacyi na temat kwestyi społecznej, co więcej on był socyalistą... kiedy odbywał się olbrzymi pochód robotników — pan Silbertopf z rodziną rzuca na przechodzących robotników kwiaty.

W ten sposób pan „Staszo“ był lubionym w kołach robotników, i nie obawiał się „teroryzmu“ jak mówił przed innymi.

„Mnie kochają“....?!

Ja nie otrzymam wyroku śmierci!

Rzeczywiście przez pewien czas udało mu się żyć w tem przekonaniu — w tem kłamstwie, w które uwierzył, a z którego miał być strasznie przebudzonym.

W kwestyi robotniczej, odgrywanie roli z jednej strony liberała a z drugiej, żądanie od ludzi bez oświaty, aby zrozumieli, że to co on im dał, te nadwyżki to już dosyć, że gdy oni zechcą dostać więcej, to opór ze strony zarobkodawcy na nic się nie przyda — w kwestyi robotniczej pan Silbertopf przeoczył jedną ważną sprawę, a mianowicie, tę, że ciemny robotnik w naszych warunkach, nie powie dosyć— więcej nie będę żądał, gdyż nadwyżka ta bę-

dzie niemożliwa, czy to ze względu na stosunki w całem przedsiębiorstwie czy w konieczności dalszego rozwoju, robotnik nasz w tych naszych smutnych latach 1905 — 8 roku, bez oświaty, bo mu jej nie dano, wychowany został w nienawiści.

Gdy zaś raz zobaczył swe zwycięstwo, jakkolwiek pan dyrektor uprzedził chwilę i sam dobrowolnie dodał więcej, to już nie mógł myśleć o tem, że to była dobra wola, tylko, że tak być musiało, poczem zażądał większej sumy i rozpoczęła się walka. Pan Silbertopf lubić dawać dobrowolnie, przymuszony dać nie chciał. Śmierć jego stała się czemś tak okropnem, że opis jej równać się będzie kryminalnym romansom. Jednakże jeszcze teraz i śmierć była zdala od niego — a pan Silbertopf chciał okazać się kulturalnym.

Tak dużo kosztowała go ta oświata.

Jako naczelnik związku obywatelskiego mającego szkołę, chciał zrobić z tej szkoły coś takiego, aby mu wszyscy zazdrościli, aby o tem pisano, aby się wsławić.

Dlatego osobiście zapraszał na kierowników szkoły takich uczonych w Polsce, których imiona były popularne i sławne. Ponieważ ofiarowywał im duże pensye — sądził tedy, że ci skromni ludzie (uczony w Królestwie musi być skromnych wymagań) staną się narzędziami polityki w rękach pana Silbertopfa.

Profesor Brzeski, przyjął ofiarowane miejsce, ale co do niego pan S. zawiódł się, on nie tylko, że nie został narzędziem w ręku je-

go, ale przeciwnie zaczął domagać się zupełnej swobody w rządzeniu szkołą. Gdy zaś poczuł, że niskie intrygi oplątują go — rzucił stanowisko zwłaszcza, że do kompromisów nie zmuszała go bieda — miał bowiem rządową emeryturę i dochody z wydawanych dzieł, oczywiście zagranicą.

Punktów starcia z panem Silbertopfem było odrazu kilka, pierwsze miało miejsce podczas sesyi — na początku roku szkolnego.

Drugie miało miejsce, zaraz potem — a powstało na tle tak zwanej żydowskiej arogancyi. Pan prezes lubił chodzić na lekcye i przysłuchiwać się nibyto jak uczą się uczniowie a właściwie po to tylko, aby krytykować nauczyciela zwłaszcza, gdy ten pan nie należał do kliki odoracyi. Jeżeli się nauczyciel stropił podczas takich wizyt i nie umiał sobie dawać rady z tremą, wtedy biada mu!

Otóż podczas jednej lekcyi Brzeskiego w 7-klasie, wszedł pan prezes, przywitał się z dyrektorem i usiadł przy katedrze. Po chwili pan prezes wyjął złotą papierośnicę i zaczął palić w klasie papierosa. Zobaczywszy to dyrektor zawołał do uczniów:

„Moi kochani roztwórzcie okno, pan prezes daje wam pauzę“ oczywiście prezes zmieszał się, bo nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, dyrektor kazał wyjść z klasy uczniom, a potem zwrócił się do prezesa z prośbą, aby na przyszłość nie pozwalał sobie takie nietakty.

„Ja tu nie widzę nic zdrożnego, jeżeli palę papierosa podczas lekcyi — a zresztą musi

panować teraz pewien liberalizm w naszej szkole, to nie są dawne czasy“.

„To bardzo smutne, że już nie są dawne czasy, bo zapewne za taki postępek wyrzuciłby pana prezesa dyrektor — rosyanin za drzwi — Tylko, że wobec rządowego dyrektora nie odważyłby się pan prezes na taką powiedzmy otwarcie — arogancyę“...

Oczywiście, że dla ludzi o tak wygórowanych pojęciach o sobie jak pan Silbertopf—dla ludzi bogatych, którzy przyzwyczajeni byli mieć wszystko za pieniądze—taki pan z własnem zdaniem niezależny—musiał stać się niewygodnym i odtąd myślano tylko o tem, aby wynajdować wszystko, co się niepodobało ogółowi, notować zdania każdej plotkarki, która przyniesie jakieś szczegóły.

Zawsze zależy od oświetlenia sprawy punkt widzenia tych ludzi, dla których potrzeba, aby właśnie tak dana sprawa wypadła. Innem zajściem, które wywołało niezadowolenie z dyrektora Brzeskiego, zajściem skrzętnie notowanę przez kółko adoracyi były zgromadzenia uczniowskie. Brzeski był przeciwny kółkom uczniowskim.

Gdy na jednej ze sesyi Sibbertopf zapytał Brzeskiego o zdanie co do kółek, ten mu odpowiedział:

„Kółka uczniowskie naukowe nie mają w obecnej średniej szkole racyi bytu dlatego, że przedewszystkiem uczeń ma tyle do nauki na 6 godzin dziennie, że jeśliby naprawdę chciał ze wszystkiego się uczciwie przygotować, to nie ma ani chwileczki czasu na inne zajęcia, po

drugie jeżeli już chcą się zebrać razem, to chyba w celu urządzenia wspólnej repetycyi, ale nigdy dla studyowania czegoś nowego bez kierownictwa nauczyciela.

Za dawniejszych czasów szkolnych to kółka miało racyę bytu, bo nie uczono się w szkole ani literatury, ani historyi Polski, nie uczono się ekonomii od społecznej, ale dziś – dziś jest program tak piękny i urozmaicony, że trzeba uczniów wydębić, aby uczyli się tego, co zadane, a już będą wspaniałe owoce. Kółkom jestem także przeciwny z tego powodu, że młodzież zechce schodzić na pole polityki lub niepowstanej krytyki szkoły. — Dzieciom nie daje się noża; chłopak nawet i w 7 klasie jest tylko dzieckiem, którem trzeba kierować, oczywiście licząc się z ambicyą w tym wieku trzeba tak kierować, aby mu się to kierownictwo nie wydało za przykre albo zbyt wyraźne, albo i dlatego, że obrazi się na nas i pójdzie do innej szkoły, gdzie go bardzo chętnie przyjmą byle opłacił wpis. Natomiast uznaję za bardzo dobre wspólne lekcye śpiewu, muzyki i gimnastyki.

Słowa Brzeskiego zostały oczywiście z ironią przyjęte przez kółko adoracyi.

Sławek i Kłosek, którzy głównie czychali na to, aby mówić w myśl intencyi prezesa — odrazu porwali się do głosu.

Kłosek przemówił:

„Z mowy pana Brzeskiego (umyślnie opuścił słowo dyrektora) z mowy wprost dziwnej w naszej szkole widać, że pan boi się krytyki

swej działalności. Dziś są czasy inne — dziś w dziecku widzimy człowieka, którego należy cenić i uprzedzać żądzę kształcenia, dziś należy witać z radości to święte dążenie do światła. Co za radość, że dziecku nie wystarcza urzędowe wykształcenie ale że ono pragnie, chce większej ilości wiedzy—krytycyzm należy powitać z radością, jako objaw zastanowienia się nad własnymi czynami! Trudno — już nie można być wyznawcą zasady „rózeczką dziateczki Duch św. bić radzi". Ja sądze, że panowie chętnie pójdziecie za mną i oddacie głos za sprawą kółek, widząc w nich rozwój młodzieży i postęp!

Lechowski poprosił o głos:

„Proszę panów, odbyłem już kilka posiedzeń z uczniami i doszedłem do wniosku, że kółko dla pogłębienia danej gałęzi wiedzy może mieć wtedy istotne znaczenie jeżeli to kółko będzie dla jednej klasy i jeśli uczestnicy poddadzą się takiej karności, że stale na posiedzenia będą uczęszczać. Ogólne kółka dla kilku klas razem, mogą mieć tylko formę odczytów, ale w tedy nie ma żadnej prawdziwej, głębszej korzyści, gdyż jedni mają jakie takie pojęcie o danej sprawie, a inni siedzą jak na tureckiem kazaniu — zatem pozostaje ostatecznie przyznać się do tego, że tylko próżność odgrywa w tem rolę — i to albo dla nauczyciela, aby się mógł chwalić, jaki jest gorliwy albo dla uczniów, którzy będą frazesami imponować w domu".

Takie postawienie kwestyi, oczywiście nie podobało się. Kłosek zabrał głos, popatrzył

ironicznie na konserwatywnego i zacofanego Lechowskiego, potem uśmiechnął się lokajsko-serdecznie do Silbertopfa i zaczął mówić:

„Pan Lechowski zapatruje się bardzo zaściankowo na wszystkie objawy tych momentów rozwoju, gdy młodzież nie zadawalnia się suchym programem, ale chce czegoś więcej! — Dziś już nie można mówić młodzieży o bocianach — dziś młodzież musi jasno patrzeć na zagadnienia życiowe. Jasny pogląd, nigdy mu nie zaszkodzi, odrzuci się pruderye, fałszywy wstyd i z podniesioną przyłbicą wstąpi się w szranki do zapasów z życiem!“

„Przepraszam, ale Szanowny kolega—powiedział Lechowski pomieszał 2 a nawet 3 kwestye—zupełnie nie mające związku ze sobą.

Jestem przyzwyczajony do systematycznego i pedantycznego myślenia — dlatego...

„Ależ znać, znać na panu — rzekł niechętnie Sławek — niemiecką szkołę“.

„Moi panowie — rzekł z kapłańskiem namaszczeniem, Silbertopf — wyjmując spokojnie ze złotej papierośnicy papierosa i powoli wkładają go do ust.

„Panie dyrektorze — proszę pozwolić na swobodne wypowiedzenie się.

„Proszę—proszę, rzekł Brzeski ale mówmy o kółkach i ich znaczeniu, nie mieszajmy kilku spraw naraz.

Potem zwrócił się do Lechowskiego i rzekł doń szeptem.

„A jednak ta bezczelność tego milionera żyda, zaczyna mię drażnić, i wie pan ja zaczy-

nam podejrzewać, że to wszystko jest tendencyjnie robione, no słuchajmy!...

Dyskusya nad znaczeniem kółek rzeczywiście poruszyła grono i można było odrazu zauważyć główne 3 stronnictwa.

Pierwsze to było stronnictwo Brzeskiego i kilku jeszcze nauczycieli. Patrzyli oni na wszystko spokojnie i o ile można było w tych gorączkowych warunkach — starali się każdy krok stawiać z rozwagą, już to na podstawie doświadczenia pedagogicznego, już to z powodu tej szlachetnej obawy, aby nad tak delikatnym materyałem jak dzieci nie robić doświadczeń.

Stronnictwo prezesa Silbertopfa, Kłoska, Sławka i Rudeckiej, miało zupełnie inne cele. Przedwszystkiem głównem ich zadaniem było podkopać zupełnie władze Brzeskiego, już to przez złośliwą krytykę, już to przez schlebianie Silbertopfowi. Do tego wyniku trzeba było użyć delikatnych środków, a mianowicie tak upozorować matactwa i podłe intrygi, aby one się nie wyjawiły i aby być w porządku z kodeksem konwencyonalnej etyki. Po przemówieniu Brzeskiego z prezesem porwała się gwałtownie do głosu Rudecka. Była tak podniecona swą rolą, że trupioblada zwykle jej twarz, zaczęła nabierać jakiejś ceglastej barwy, a ślina pokazała się na zwiędłych wargach.

„Proszę panów kółka mają u nas w Polsce historyczne marzenie. Dawniej miały jeszcze jedną więcej zaletę, gdyż były schronieniem duszy narodu, dziś znaczenie ich potęguje się,

bo młodzieniec zapoznaje się ze stosukami społecznemi, młodzieniec zaczyna rozumieć swą rolę w społeczeństwie.

Szkoła prywatna zaczyna stawiać pierwsze kroki i odrazu widzimy teraz walkę młodych pędów z rutyną klerykalno - konserwatywną.

A tak proszę państwa.

U nas tak się warunki ułożyły, że ludzie starsi nie chcą zajmować się kwestyą społeczną, tylko młodzież musi za nich spełniać tę trudną misyę. Otóż naszem zadaniem będzie na kółkach tę myśl rozwijać, będziemy pozwalać na dyskusye! — Ja tu nawet przyniosłam kilkanaście broszurek, które mogą wywołać wymianę myśli. Jeszcze raz powtarzam, kółka są dla naszej młodzieży potrzebne — one muszą ją uświadomić pod każdym względem, skończyłam.

„Chwała Bogu" mruknął Brzeski. Może kto jeszcze z państwa prosi o głos. Poprosił o głos stary przyrodnik Foks.

„Ja tam tak bardzo — proszę państwa nie znam się na tych pracach, ale chętnie z uczniami pójdę na wycieczkę, albo jakby przyjechała menażerya, to do menażeryi, albo w lecie owady zbierać. Tak to jeszcze rozumię pracować z chłopcami, ale niby jakto Szanowna pani mówi, uświadamiać społecznie, to przecież mamy skutki opłakane tych uświadamiań nawet sesyi nie można odbyć wieczorem, bo niebezpiecznie iść. A jakże znowu inaczej ich uświadamiać — czy powiedzieć takim młodym umysłom, że wszystko na świecie to albo popęd płciowy, albo głód, że to wszystko walka

o byt, że naprawdę nie ma nic godnego szacunku. Jakże tak odrazu brukać czyste karty ich księgi życia, zatruć humor i zrobić zgorzkniałymi pesymistami, tak jak każdy z nas belfrów na stare lata?! Mnie się wydaje uczciwszem pozwalać tylko na takie spacery naukowe, a stanowczo usunąć uświadomienia pod jakim kolwiek innym pozorem! skończyłem".

„Ja proszę o głos zawołał ksiądz prefekt Dobrski. Zanim zaczął mówić, wzniósł oczy ku niebu, pogładził chudymi palcami wygolone wargi i rzekł:

„Widzę z tej dyskusyi, że nie wszyscy członkowie grona nauczycielskiego, wyznają prawdziwe zasady kościoła. A kto kościoła nie słucha, tego praca będzie nie owocna.

Należy młodzież gromadzić co sobotę po południu na ćwiczenia religijne, na modlitwę i naukę, ale absolutnie na żadną dyskusyę smarkaczom nie pozwolić, pod karą wydalenia ze szkoły. Zwiększona ilość ćwiczeń religijnych wyda lepsze owoce, powinni wszyscy nauczyciele chodzić z uczniami do kościoła, wzmacniać ich wiarę, ale niestety obojętność opanowała warstwy inteligencyi, nawet nie czyta się listy uczniów przed nabożeństwem i po nabożeństwie. Nie ma kontroli ze strony panów, ja postaram się zapobiedz temu nieszczęściu i mam w każdej klasie jednego ucznia, który mi donosi, którego z klasy nie było na mszy świętej i kazaniu, może w ten sposób zwalczymy siłę zła, skończyłem". Znowu wzniósł oczy bogobojnie w górę, otarł chudymi palcami wygolone

wargi i spojrzał przymróżonemi oczyma na swoich dwóch kolegów w zawodzie Trepę i Paździerskiego. Niestety musiał być z gorszony, gdyż Trepa palił jakieś ogromne cygaro i pokazywał sąsiadowi swemu Mikołajczykowi, wesołej treści pocztówki.

Po chwili doszedł go szept Mikołajczyka „A skąd ksiądz wziął takie użasne cygaro".

„Dostałem panie z Wiednia, Kaiser Franc Joseph, Jubileum cigarre, a co duże jak kołek a zapach...

„Proszę państwa, kto jeszcze prosi o głos:

„Ja, rzekł anielskim głosem, ks. Paździerski".

„Widzę, że Szanowne grono chciałoby jak najlepiej czynić dla ukochanej naszej dziatwy, o tóż ja proponuję zawiązanie bractw ku czci świętych młodzieńców, wzorów czystości.

„Proszę! zawołał ks. Trepa.

„Ja proszę państwa jestem o tyle za kółkami uczniowskiemi, o ile oni nie zaczną dotykać kościoła, bo jeśli tam idzie o inne faramuszki, to niech się wygadają, jak się im pozwoli, to nie będą nic robić. Tylko panie kochany, zakazane to smakuje, a pozwolone to na nic, to tak jak w małżeństwie, ha, ha, ha i zaczął się śmiać donośnie. Jednakże prezes był niezadowolony z przebiegu obrad i na twarzy jego malowało się zniechęcenie. Oczywiście to samo wyrażały twarze Rudeckiej, Sławka i Kłoska.

„Czy już nikt z państwa nie chce zabrać głosu, zapytał Brzeski, a gdy nikt nie odpowiadał, rzekł dalej, poddaję tedy wniosek o kółkach pod głosowanie, kto z państwa jest za urządzeniem kółek, raczy podnieść rękę". Na-

stępnie porachowawszy głosy rzekł: „A więc większość jest za tem. Proszę tedy obmyślić, jak często one mają się odbywać, kto ma na nich bywać, bo stanowczo musi być ktoś z nauczycieli.

Teraz Rudecka złośliwie dorzuciła.

„O nie ma obawy, aby nauczyciele nie chcieli chodzić przynajmiej, ja i Panowie Sławek i Kłosek, będziemy szczęśliwe z tego zbliżenia się do nich!

Ostatecznie postanowiono urządzać zebrania.

Odbywały się one zwykle w niedzielę i święta rano.

Na kilku pierwszych było mnóstwo uczniów. Sławek i Rudecka, fotografowali się z uczniami jako kółko literackie i społeczne i umieszczeni w tygodnikach.

Po jednej z tego rodzaju sesyi zirytowany Brzeski, szepnął do Lechowskiego.

„Dokąd pan idzie—może pójdziemy razem na wódkę — szepnij pan Foksowi i Trepie — pójdziemy razem.

Po chwili ubrali się i wyszli.

Udali się razem do restauracyi na skromną wódkę, aby jak mówił stary Topór, nauczyciel matematyki, spłukać ze siebie pył szkolny i specyalną woń szkoły „odeur of school“.

Gdy zasiedli, Trepa powiedział:

„Pierwszy warunek, nie mówmy o szkole i nie zatruwajmy sobie życia — potem oznajmiam, że piję wódkę tylko w dwóch wypadkach, albo do śledzia, albo bez śledzia, pozatem jestem abstynentem!

„Dobrze tak księdzu mówić — ale coby ksiądz zrobił w takim wypadku jak ja — rzekł Topór 27 lat pracowałem w budzie Górakiewicza, teraz on mię pozbawia lekcyi, wszystkich środków do życia, bo wydaję mu się za stary i za mało sprężysty.

Oczywiście on by chciał, żebym go prosił, ale niedoczekanie jego. Pomyślcie panowie — obiecuje mi lekcye właściciel budy, ten protestancki patryota — głośny reklamiarz środków naukowych, pomocy dla młodzieży, hygieny wychowania.—Macher — spotyka mię po wakacyach i dziwi się, że go pytam, ile będę miał godzin. Udaje, że nic nie wie, o niczem nie pamięta — oto umowa z nauczycielem na gębę.— No i co mu zrobisz, będziesz skarżył do sądu, odkryjesz te plamy i brudy przed forum. Taksamo zrobił ze mną i inny przedsiębiorca szkolny.

Taki Faler—nie dał mi tylko dlatego lekcyi, że się jego żonie i jej ami cochon inspektorowi nie podobałem.

Co to pomoże, że kuryer pisze, iż właściciele szkół do ostatniej chwili zwlekają z angażowaniem nauczycieli, kiedy oni kpią z wszytkich zasad etycznych.

Jeden z nich do ostatniej chwili nie wiedział, czy założyć skład węgli czy zakład naukowy.

Aby panie złapać duszę i dobrze!

Ha ha ha—to jeszcze nic — rzekł Foks, trzeba widzieć te szopki po pensyach, te popisy dla mam — te programy z kwiatami!

„Ależ panowie prosiłem, że nie wolno mówić o szkole, bo zatruwamy sobie jedzenie“.

„Kiedy musi się człowiek wygadać, bo, naprawdę, los prywatnego nauczyciela gorszy od losu aktora z prowincyi.

To racya — rzekł stary Kóźma — ja zawsze mówię, że wolę 40 rb. rządowej emerytury niż 200 w budzie prywatnej.

Proszę was, przecież żona Żółtka, który jest zerem, bo szkołą rządzi żona, jej przyjaciółki i ami cochon inspektor, kazała swoim wychowawcom urządzać po południu próby amatorkich teatrów, a podczas wakacyi prosiła (panowie rozumiecie co taka prośba znaczy), aby dopilnować tapetowania jej mieszkania i t. d. A ja się nie dziwię — bo zanim te prywatne budy powstały, było to wszystko niczem, teraz skorzystało to z wolności i hajda zakładać polskie gospodarstwa i nosa zadzierać.

„Albo ta buda Płotnickiego, jak Boga kocham w jego budzie wychowawcami są dwaj jego szwagrowie, jeden były nadzorca magazynu kolejowego, a drugi były akwizytor Singera. Aby tylko wyrwać wpis, aby zarobić. Co za szopki przy tych egzaminach! Mówię do niego — panie dyrektorze, chłopak albo dziewczyna nic nie umie.

„Ależ panie kochany — to bogaty chłop, już zapłacił, jakżeż go wyrzucę — zresztą chce pan brać pensyę czy nie — oto argumentum ad hominem.

„Panowie jeszcze raz powtarzam przestańcie mówić o szkole, bo już podają — ach

jak Boga kocham dajcie spokój. Ja wam mówię, że to wszystko w łeb weźmie, prędzej czy później, bo same się kompromitują — jedna buda wyrzuca chłopaka, druga przyjmuje bez żadnych trudności, więc co tu gadać o karności!

„Cieszcie się, że nasza buda nie zależy od koła mam — plotkarek, dobrodziejek i reformatorek i proszę — pijemy...

Po nowej kolejce wódki zawołał Trepa: „A teraz opowiem wam pyszną farsę. Widziałem ją podczas wakacyi w kabarecie w Paryżu — była to operetka p. t. Pchła.

Ha ha ha! — zaczęli się wszyscy naprzód śmiać.

„Otóż — panowie, na scenie śpiewa śliczna kobietka, że mąż jej wyjechał na wyprawę morską, i już dwa lata o nim nic nie słyszała, już ma dosyć tej cnoty, a ponieważ ją uwielbia piękny oczywiście porucznik, więc idzie na schadzkę do niego. Już ma wyjść, kiedy coś ją gryzie. Ach! to pewnie „taka mała czarna pchła, taka mała czarna pchła, zaczyna ją tedy szukać w swem ubraniu—następuje cudny walc i podczas tego, kobietka rozbiera sie z szat i szuka— ach, jak byczo odbywa te poszukiwania!

Wszyscy już byli rozbawieni — więc Trepa mówi: „No, który z panów opowie dobry kawał“.

„Ja — rzekł Kóżma, który już wypijał ósmą wódkę—powtarzając frazes „rybka musi pływać — wół musi pić“ — opowiem coś z wojska.

„Jazda“.

Żona młodego kapitana, miała mieć dziecko — już zbliżała się ostateczna chwila, gdy kapitan, otrzymał rozkaz, że musi wyjechać na dwa tygodnie do obozu.

Oczywiście przykre było to rozstanie. Kapitan tedy poprosił czuwające nad żoną ciotki, aby mu zaraz zatelegrafowały, co będzie—ale: „Słuchajcie, nie chcę, aby koledzy w pułku się o tem dowiedzieli, więc zatelegrafujcie „szabelka—bo to napewno będzie córka“. Kapitan wyjechał—za dwa dni przyjeżdża na świat synek. Rodzina w kłopocie, jak mu donieść, że to syn, kiedy umówiono sie, że szabelka — będzie oznaczać córeczkę. Tylko stara teściowa, znalazła punkt wyjścia i zatelegrafowała: „Szabelka z kutasikiem”

Gromki śmiech towarzyszył kawałowi, a stary Foks zaraz dodał: „Na mnie kolej — ja wam powiem, jakby się córka nazywała“.

„No jak?

„A no dałbym jej greckie imię „Itada“.

„Ah to doskonałe — zawołał Trepa—to ja wam powiem, jak mię raz zapytał chłopaczek podczas lekcyi katechizmu.

„Proszę księdza czy człowiek jest naprawdę stworzony na obraz i podobieństwo Boga“.

„Naturalnie”.

„No to proszę księdza, Pan Bóg jest różnokolorowy.

„Hm, co takiego — dlaczego?“

„No bo my mamy skórę białą, murzyni czarną, indyanie czerwoną i t. d.“

„A to hultaj!

„Mówię panom—zawołał Topór—najbardziej lubię łobuzów, bo z nich najlepsi są potem ludzie.

Wtem rzekł Brzeski: „Stary Koźma prosi o głos.“

„Ja znowu coś z wojska.

„Po trzech miesiącach przebywania rekrutów i tłuczenia nimi, miał zjechać generał, aby sprawdzić postępy. Ponieważ oficerowie wiedzieli, że generał lubił dawać „oderwane“ pytania, więc próbowali je z rekrutami i w tym celu dawali im rozmaite zapytania, które miały udowodnić, czy żołnierz umie myśleć.

I tak jeden porucznik zapytał rekruta: „Czy ty Jajczak, każdy rozkaz przełożonego musisz spełnić.

„Tak toczno“.

„No a jakby ja ci kazał gołym tyłkiem usiąść na rozpalonej blasze pieca, ty by usiadł?“

„Tak toczno W. - Prewoschaditelstwo. — Pan Jezus więcej cierpiał!”.

„A to doskonała charakterystyka posłuszeństwa XX wieku i naszego biednego rekruta ”

„A wiecie, ten Korzeniak to już wystarał się o koncesyę na 3 szkoły w jednej osobie— on ma już filologiczną, realną, handlową i kursa z metodą Berlica — co kto woli—może z jednej szkoły wyrzucać do drugiej i zawsze będzie dobrze.

Ale a propos tej metody Berlica — słyszało takie bydle, że jest jakaś taka metoda i już po gazetach w anonsach ogłasza:

„U mnie wszystko metodą Berlica.“

Otóż mówił mi kolega, jak tam wyglądają lekcye. Chciał facet objaśnić pannom i panom na kursach, co znaczy po francusku „pomiędzy" zaczął tedy palcem poruszać między dwoma innemi palcami — panowie w śmiech a panny się obraziły, bo co innego zrozumiały!

„Oho widzę już znowu schodzimy na pole pedagogii, kiedyż naprawdę otrząśniemy się z tego.

„Proszę księdza zawsze ostatecznie o tem człowiek gada, co go boli; rzekł Topór; bo w naszej szkole mogłoby być lepiej, gdyby powodowano się nie taką etyką dla kurjera ale uczciwością.

Przecież u nas są ludzie, którzy chętnie pracowaliby w pedagogii, bo mogliby w ten sposób pomagać sobie w naukowej pracy. Ale jakżeż tu pracować naukowo. Aby utrzymać rodzinę — trzeba mieć po 36 godzin lekcyi — a czasem i wieczorami ze 12 tygodniowo zatem 48 godzin — to curiosum.

Kiedyż tu przeczytać naukowe dzieło i jakżeż w tych warunkach przygotować się na lekcyę — do wykładu, jak tu poprawiać kajety. Dodaj do tego, żeś zależny nie tylko od każdego grymasu pana właściciela zakładu, od jego żony, wszystkich mamusi, to naprawdę zaczyna być nieznośne życie.

„Tak macie, panowie—zupełną racyę, rzekł Dyrektor Brzeski, gdy ja zajmowałem się belferką, nigdy niebyłem zajęty tylko w jednej budzie — bo w takim razie staje się człowiek zaprzedanym duszą i ciałem. Zwłaszcza naj-

wstrętniejsza ta żebranina na wpisy: balami, teatrami, bazarami. Oczywiście, sztubacy chcą i muszą dopomagać — zakładają komitety, zajmują się wszystkiem, tylko nie nauką.

Nie można im nic powiedzieć, bo oni pracują dla dobra szkoły i kolegów!

Ta sama szopka jest z wychowawstwem.

Jakże można być wychowawcą nad 150—180 chłopcami — oczywiście schodzi się do rzędu policyanta, pilnującego, aby szyb nie bito, aby sobie zębów niewybijano i t. d.

Tak to są ciemne strony strony szkolnictwa prywatnego.

„Jednakże rzekł Lechowski, który dotąd siedział zadumany — szkoła prywatna pomimo wszystkich wad, jest wielką zdobyczą w tych warunkach. w jakich my żyjemy. Przecież powiększa się ilość ludzi wykształconych, powiększa się uświadomienie narodowe, polacy znajdują kawał chleba!

„Ja mam inny pogląd na tę sprawę—rzekł Topór, w naszych warunkach niestety, musi być szkoła przedsiębiorstwem, ale niechże będzie uczciwem przedsiębiorstwem, niech nie będzie tej blagi, tych ogłoszeń w kuryerkach, że takie a takie zrobiła wycieczki, że na tylu wystawach była, tyle rysunków wystawiła! Jeżeli nie będzie używać tak wstrętnych środków reklamy to może i społeczeństwo zrozumie jej wartość. Bo nasi rodzice, albo nie lubią się szkołą zajmować, albo chcą w niej rządzić jak szare gęsi. Ja wierzę, że silna karność — i uczciwa nauka, uczciwe postępowanie z uczniami i nauczycielami, wyda dobre owoce!

Na to Koźma rzekł drwiąco:

„To pan nie zna naszego społeczeństwa. Jeżeli jest szkoła państwowa, jeżeli daje prawa — to rodzice nie będą się mieszać, bo się boją władzy! Bo władza z nimi nie będzie się rachować, ale wyrzuci za drzwi i koniec.

Natomiast w prywatnej budzie zawsze będzie grał rolę główną, nepotyzm i wszystko to co do interesu jest potrzebne, a więc reklama.

Tak, tak reklama — bo u nas nie ma ani głębokiego zastanowienia się rodziców nad dzieckiem ani śmiałego zdania w opinii publicznej.

Także fałszywy wstyd nie pozwala dużo mówić. Wskutek tego zło rośnie i rzadko kiedy poważnie myślący człowiek chce wleść w prywatną pedagogię. Nie przeczę, że może w innych warunkach inny obrót wzięło by całe szkolnictwo, ale... zresztą dajmy sobie już spokój—kelner płacić...

Powoli rozeszli się wszyscy. Lechowski odszedł smutny, jednak on marzył, że będzie mógł z uczniami czytać „Noc listopadową" na tle Łazienek — gdyby...

Teraz wydało mu się jasnem, jakby się ośmieszył, gdyby wyrwał się z takim projektem.

Uderzającą było rzeczą, że głównymi prelegentami byli uczniowie żydzi—a tematem ich były, albo jakie niby społeczne kwestye, albo kwestye związane mniej więcej z seksualizmem.

Na każdem posiedzeniu był Lechowski i słyszał przykre zdania, tem boleśniejsze, że mówiła to młodzież pozbawiona krytycyzmu a na lep frazesów dawało się łapać wielu, wielu porządnych chłopaków.

Na jednem z tych kółek miał uczeń VI klasy Kopf odczyt o prześladowaniu żydów w Polsce.

Odczyt ten nie opracowany krytycznie, polegający na tendencyjnych kombinacyach zakończył w ten sposób:

„Z tego systematycznego prześladowania naszych ojców widzimy, że żądanie abyśmy my żydzi kochali ten kraj i czuli się z nim w łączności jest absolutnie nie uzasadnione.

Dlatego postępowi polacy nie chcą wskrzeszeń dawnych poglądów o głupich a poczciwych i pogardzanych Jankielach, ale chcą nowej postępowej organizacyi społecznej.

Trzeba odrzucić dawne myśli, ale uwolnić się od wszelkich przesądów!“

Lechoń przegryzł wargi i postanowił tak poprowadzić dyskusyę, aby nie było mowy o wyrzekaniu i pluciu na Polskę.

Zauważył, że koniecznie starano się poprowadzić rozmowę na ten temat. Chłopcy z 6 i 7 klasy już 17 — 18 letni — oczytani w broszurkach zaczęli kpić ze wszystkiego.

Natomiast ci uczniowie żydzi, którzy mieli zamiar wystąpić ze szkoły, gdyż ta nie dawała praw, ci najbardziej starali się rozdrażnić nauczyciela. Dzięki tylko wielkiemu taktowi Lechowskiego uniknięto obelg narodowych, tem boleśniejszych, że pochodziły one od młodzieży.

Kwestya uświadomienia płciowego spotkała się z tak energicznym oporem Brzeskiego, że Rudecka musiała zaprzestać tych opracowań w szkole.

Jednakże nie przeszkadzało to jej rozszerzać

nowe kółka pedagogiczne, w której powtarzała znane frazesy, a które poczciwi rodzice przyjmowali kiwaniem głów i unoszeniem się nad swadą i mądrością Rudeckiej, Sławka i Kłoska.

Nowe dwie nieprzyjemności spotkały Brzeskiego, a mianowicie pod wpływem agitacyi Rudeckiej zaczęło się tworzenie kółek rodziców.

Wśród tych pań wodziły rej matki — nie mające nic do roboty, gdyż mężowie ich harowali za nie dzień i noc. Zapragnęły one, aby im Brzeski pozwolił wizytować na lekcye—naradzać się nad wartością pedagogiczną panów nauczycieli—jednem słowem postanowiono mącić wodę i uprzykszać życie Brzeskiemu.

Na to jednak Brzeski nie chciał się zgodzić, wiedział bowiem, jak bolesnem jest nieraz zmęczonemu i tak swą ciężką pracą nauczycielowi uczyć w obecności osoby, która tylko po to przychodzi na jego lekcyę, aby mu zatruwać niepowołaną krytyką wziętość zawodową.

Kiedy nadszedł dzień Wszystkich Świętych, Lechowski i Gałek udali się do Kuźmy, aby pogadać z nim o tem co przez ten pierwszy kwartał przeżyli.

A tymczasem ferment, jaki panował w szkole był tylko słabem odbiciem walk bratobójczych i rozdarcia uczciwych myśli w sferze robotniczej, a nawet całego społeczeństwa.

Epoka, w której działać począł poczciwy Budzisz—epoka ta doprowadziła wreszcie do zupełnego rozstroju społecznego. Nie dziwiono się już, gdy czytano o mordowaniu inżynie-

rów przez robotników, nie dziwiono się już, gdy robotnicy narodowcy walczyli z robotnikami—socyalistami — nie dziwiono się zamachom na komisarzy, policyantów.

Lechoń widział takie obrazki że np. na drodzę prowadzącej do szkole, leżało kilka trupów robotników, którzy rano idąc do fabryki stoczyli bratobójczą walkę.—Mimo tych trupów przechodzili uczniowie i zabierali się do pracy—w jakiem nastroju?!

Lechoń zauważył, że w usposobieniu Gałka zaszła przykra zmiana.

Gałek, który dawniej garnął się do każdej pracy społecznej jakkolwiek nieraz pesymistycznie o wszystkiem się wyrażał, teraz rozpił się.

Lechoń zapytywał go o przyczynę tego nihilizmu życiowego a ten tak się tłomaczył:

„Mój kochany widzę głupotę i marność całego tego ruchu, widzę, że tu główną rolę grają żydzi- oni skorzystali z tego, że nasi pouciekali z rządowych szkół i zajęli wszystkie miejsca — oni na tej całej głupiej rewolucyi zrobili znakomity interes. To kpiny te ograniczenia procentowe—żyd przejdzie na kalwinizm i jest panem podwójnym bo ma wszystkie prawa i jest żydem, a nasi ciągle, ciągle od tego stołu odtrącani. A dalej ta kwestya robotnicza—krew—krew—ona splugawiła cały ten ruch—nie wiem czy potęga policyjna za silna, czy całe państwo za duże, czy taki głupi naród...

Nie wiem, może to tresura jarzma Ruch w państwie skonał, połamano młodym orlętom

skrzydła.— Patrz jaka rozpacz wieje z kart rosyjskiej młodej literatury, np. z „7 powieszonych“. Z idealistów zrobili się bandyci i donosiciele — haha „Złoty cielec rządzi tu“... ja, nie myśl, że będę pił długo—nie tylko napadła mie taka niechęć, taka apatya do czynu.

Zarabiam i bawię się—piję to znaczy bawię się, a dusza skowyczy. Nie wierzę w pożyteczną pracę, jeśliby taka zaczęła się rozwijać zaraz zgaszą ten ogień—jeszcze jedyny program ala „365 rad Prusa na bóle narodowe" gromadź pieniądze, bo jako osoba finansowa będziesz miała szacunek. Ach jakie to banalne dawanie rad polakom w Królestwie, czyż ten pan zapomniał, że posiadanie zalet przez niego wymienionych może doprowadzić do zamknięcia w ulu. Jednak raz na tydzień umie taki pan wyrznąć 300 linii o błędach narodowych i o środkach na nie.

O zacna duszo! Stańczyk się do ciebie uśmiecha, a obydwaj macie łzy w oczach!

Lechowski nie chciał się zarazić tym pesymizmem. Odpowiadał mu wtedy:

„Jesteśmy na takich placówkach, gdzie na każdym kroku grozi nam śmierć, a więc ja postanowiłem do ostatniej chwili walczyć i to lojalnie t. j. tak, aby nie dostawać się do więzienia, gdyż trzeba być sprytnym jak wąż. Wolno na razie mieć publiczne odczyty, trzeba i z tego korzystać—każda najmniej dodatnia działalność, to już krok naprzód, to zwycięstwo w tej wielkiej kampanii o życie narodowe.

Wielka wojna nie tylko składa się z głów-

nych bitw, ale i te drobne utarczki dają siłę i ochotę do walki—niedawno byłem z odczytami w takiej osadzie fabrycznej.— Ach jakaż to radość mówić do tych zbiedzonych znękanych ludzi, którzy mogą czasem usłyszeć słowo zdrowe, czyste we własnym języku. Życie jest podłe powiadasz a wysiłki nasze beż celu—to być może ale ja żyć tak nie mogę—bo taka abnegacya to śmierć--na taką zaciekłą apatye może zdobywają się rewolucyoniści rosyjscy, ale polak ma w sobie temperament i musi lecieć do ataku. Śmiejesz się ze mnie; to mnie nie zniechęci.

Tymczasem udało się zdobyć społecznikom pozwolenie na popularne wykłady.

Powstały odrazu 2 wrogie sobie instytucye—jedna p. t. „Serce“ zaczęła ogłaszać popularne wykłady bez obrażania przeszłości narodowej, druga p. t. Żagiew zaczęła niecić płomienie postępu. Odrazu przylepiono do instytucyi „Serce” markę konserwatywno-klerykalną szlachectwa, w 2-giej w tej „Żagwi“ postanowiono zohydzić wszystko, co otoczone aureolą przeszłości w Polsce, a więc ośmieszono unię Litwy z Polską, dowiedziono zbrodni Stanisława Szczepanowskiego, podnoszono kwestyę prześladowania żydów w Polsce, wypuklano błędy Towarzystwa Jezusowego — w Skardze widziano tylko fanatyka, w Chmielnickim tylko bohatera, w Sobieskim tylko głupca i t. d.

W ten sposób „Żagiew“ stała się postępową i nadwyraz popularną. Celem zwiększenia tej popularności, urządzano nadto wykłady

na temat: prześladowanie Husa, Bruna, Galileusza, znaczenie inkwizycyi i t. p. Wszystkie tematy z odcieniem tendencyjnym były rzeczywiście nie krzewieniem, ale nieuczciwem krzywieniem oświaty.

Łatwe frazesy chwytała niekrytyczna publiczność — operowała nimi w walce klasowej — gromadziła uczniów, a wreszcie okazała się tak dobra że „Serce“ zamknięto a „Zagiew” płonęła w dalszym ciągu.

Tymczasem w szkole ferment wzrastał. Objawił się on już to w ustawicznej krytyce szkoły przez koło pań-matek—opiekunek nad niezamożną młodzieżą, już to w rozdziale młodzieży nawet w najniższych klasach na 2 obozy narodowców i postępowych.

Profesor Sławek pomimo, że wykładał chemię jednak zbierał młodzież celem lektury dzieł z najnowszej literatury, komentował pesymistyczne „Na anioł pański”. Zapalone młode umysły przejmowały się teoryami poezyi, wkrótce też doprowadziło to do poważnego zatargu.

W 6-ej klasie wytworzył się klub postępowców. Uczniowie ci żądali daleko idących reform „zaskorupiałej rutyny szkolnej“. Zażądali od dyrektora Brzeskiego, aby delegaci każdej klasy brali udział w sesyach nauczycielskich, aby usunięto wykład religii a zastąpiono wykładem historyi etyki, aby usunięto z klasy krzyż, aby nie pytać z lekcyi codzień, ale zaprowadzić system repetycyi.

We frazesach tych obok pewnej dozy słuszności była głównie chęć wywołania awan-

tury. Pośrednio była to robota prof. Sławka, któremu chodziło o wywołanie jakiegoś grubszego skandalu, aby przedewszystkiem podkopać powagę Brzeskiego jako kierownika zakładu, a dalej aby zgnębić Lechowskiego, który był wychowawcą w tej klasie. Na nieszczęście prefektem w tej klasie był Dobrski, zwany torquemadą, który niestety brał głupie zapytania uczniów na serjo, bardzo prędko się oburzał i wyrzucał uczniów za drzwi.

Jednakże obok tych złych objawów miała ta klasa i tę dobrą stronę, że składała się z uczniów utalentowanych, garnących się do wiedzy i poważnie zastanawiających nad zagadnieniami życia.

Niechęć do władzy szkolnej, duch buntu, opór był w nich zaszczepiony jużto przez wpływ czasu, pełnego niepokoju podziemnych dreszczów i wpływu nowej literatury rosyjskiej, jużto przez nieuczciwy sposób postępowania takich nauczycieli jak Sławek, Kłosek, Rudecka i t. p.

Kiedy wszedł ksiądz Dobrski do klasy odrazu wywołał niezadowolenie i szemrania gdyż zapytał się:

„A któryż to z was nie był na mszy świętej i popełnił grzech śmiertelny, bo opuszczenie mszy św. bez poważnej przyczyny to wielka zbrodnia; ja wiem którzy są takimi heretykami, (tu spojrzał na klasę a widząc niektórych śmiejących się ironicznie wpadł w pasyę i zaczął wołać):

Nie śmiej się durniu, bo nie szanujesz kościoła, to znaczy nie szanujesz ojczyzny —

a wrogi się cieszą z tego; zawsze to Polska i kościół stanowią jedność a wy błazny nie rozumiecie, tylko wam we łbie jakieś rozumowania, rewolucye—to wszystko podszepty djabła; Ja z wami dam sobie radę — mam tu spis nieobecnych na mszy, wyrzuci się tych łajdaków z owczarni, a w tedy!..

„A wtedy co“—rzekł uczeń Mikuła; chłopak zdolny, z przekonania socyalista, redaktor gazety uczniowskiej, przewódca klasy.

„Jakto co?“ rzekł zdumiony prefekt—oczyści się szkołę!

„Dlaczego—czy dlatego, że nie zachowuje się czczej formalistki, cóż z obecności na mszy gdy się nie ma przekonania!

„Jakto smarkaczu — ty będziesz tu mędrkował, 200 milionów chodzi na mszę i słucha kościoła a ten wyrodek śmie inaczej muśleć! Precz z klasy!

„Mogę iść ale to przekonania nie zmieni“

W tem klasa zaczęła tupać i gwizdać. Prefekt wstał blady i drżący zawołał:

„Obrażacie kapłana“.

„Nie prawda —nie obrażam ryknął M. — tylko ksiądz prefekt organizuje szpiegowstwo u nas w klasie, a my nie spodziewaliśmy się tego w naszej szkole. Myśmy myśleli że ta nowa szkoła będzie przynajmniej wolną jeżeli nie pod względem politycznym to przynajmniej ideowym — tymczasem presya ze strony klerykalizmu trwa dalej — ale my jej nie zniesiemy! Chodźcie!— na to hasło, uczniowie wyszli z klasy, a prefekt pobiegł do Dyrektora.

Uczniowie z innych klas zaczęli się podnosić z ławek i przypatrywać przez okna w dzwiach klas umieszczonych, a tymczasem rozgoroczkowany prefekt wpadł na parter do kancelaryi Brzeskiego, który właśnie pisał.

„Co się stało“ podskoczył ze swego krzesła Brzeski.

„Obrazili kapłana”

„Kto?

„Szósta klasa. Mikuła.

„Jakto — czy uderzył kto księdza“.

„Gorzej — bo zbuntowali się i wyszli z klasy“.

„Co — jak mógł ksiądz doprowadzić do takiego skaadalu!

„Jakto ja?“

„Naturalnie proszę księdza — ja chyba dałem dowody, żem katolik i polak ale z uczniami prefekt powinien odegrać inną rolę niż każdy nauczyciel—ksiądz wie że są takie czasy, że tylko ogromną dyplomacyą można do czego dobrego doprowadzić! biegnę do nich".

Po tych słowach wybiegł Brzeski do uczniów 6 klasy — wszedł wraz z nimi do klasy usiadł na katedrze i gdy się ucieszyło zapytał:

„Powinieneś był Mikuła przyjść do mnie z tem wszystkiem, a nie robić awantur podczas lekcyi najpierw dlatego, że wasz prefekt jeśli nawet ostro was gromi to tylko z miłości dla was, dalej jako rozumny chłopak wiesz o tem, że z każdego zajścia w szkole cieszyć się będą wrogowie naszej prywatnej szkoły. Ja widzę teraz tylko te drogę odpowiednią, abyś przeporsił prefekta — albo opuścił klasę.

„Przepraszać nie będę — minęły czasy pokory Galileusza — nie chcemy lekcyi religii w szkole tylko wykładu historyi religii t. j. etyki.

„Odpowiedź twoja świadczy o tem, że mówi dziecko.

Religia musi być wykładana, gdyż w przeciwnym razie rząd zamknie szkołę — powtóre ja widzę, że ty do szkoły się nie nadajesz dlatego, że wnosisz do niej ferment. Radzę ci opuścić zakład — albo, powtarzam przeprosić prefekta, albo opuścisz szkołę — tyle mogę ci powiedzieć jako dyrektor. Oprócz tego chcę, abyś ze mną pomówił dziś w cztery oczy — a wy siędzcie cicho do końca lekcyi, jak tu przyślę pana profesora Foksa, na zastępstwo.

Przybycie Foksa uciszyło klasę — był to stary już człowiek, cieszył się ogromną popularnością w szkole, gdyż jeszcze wtedy, gdy szkoła była państwową, on wygłaszał wolnomyślne — złośliwe uwagi, do czego przy nauce przyrody bardzo często nadawała się sposobność. Foks miał nieraz zajście z dyrektorem szkoły państwowej, głównie wskutek oskarzenia prefektów. Niechciał np. odmawiać urzędowej modlitwy przed lekcyą, ale mówił do uczniów „Wznieście ducha do Boga i siadajcie".

Oczywiście wywołało to humor u chłopaków nie rozumiejących treści tego zdania i oni zaraz pochwalili się z tem zajściem przed prefektem. Ten znowu poszedł do dyrektora a dyrektor musiał wzywać starego Foksa swego gabinetu i mówił:

„Panie Foks — co pan wyprawia z tą mo-

dlitwą, to pan robi rewolucyę. Przez pana gotów prefekt do Pitra żałobę posłać — panie, chyba pan rozumie płaszcze trzeba zachować — wszystko na pozorach polega. — Dyrektor lubił Foksa, a że sam ongi na ławie uniwersyteckiej odznaczał się śmiałymi poglądami i należał do koła „wolno-dumców“ przeto z checią po czarnej kawie rozmawiał o teoryach fizyczno-naturalistycznych).

Foks wyprosił sobie pierwsze lekcye w szkole, a prefekta uspokoił Dyrektor tem, że Foks otrzymał naganę służbową i zagrożenie wyrzucenia z posady w razie jakich nowych objawów występowania przeciw dyscyplinie szkolnej.

Foks wszedł do klasy i ciężko usiadł za katedrą. „No i cóż ten Mikuła narobił awantur, o co poszło“.

„O chodzenie na mszę i o toześmy chcieli dyskusyi, a prefekt nie pozwolił“:

„Miał racyję, że niepozwolił bo to ambaras“—no, o coś się pytał?

„Chcieliśmy rozprawiać o tajemnicy odkupienia.

„Ho! ho! — toś ty Bruno — czyś Hus; no gadaj niby coś chciał zrozumieć“?

„A tak proszę pana profesora nie mogę zrozumieć tego, że Bóg — jak mówi dogma — stworzył świat — a więc i aniołów. I wiedział, że oni upadną — będą nieszczęśliwi i staną się szatanami, a pomimo tego stworzył ich. Wiedział, że ludzie będą grzeszyć, a pomimo tego ich także stworzył. Bóg Ojciec i Syn jest jednością — a więc ta sama istota, która chciała

stworzenia ludzi, ona poniosła nieskończoną obrazę za ten grzech i ta sama pójdzie potem jako Syn przepraszać za grzech Ojca — a przecież to jedna i ta sama istota według dogmatu, jakże z to pogodzić z dobrem sercem i z logiką“.

„Ho ho, mój Mikuła! ty się w szkole nie uchowasz, ale dosyć tego — na to niech wasz prefekt odpowiada, ja opowiem wam moją przygodę. Szedłem pewnego razu ulicą, patrzę stoi jakaś baba i ma w koszyku dużego brunatno-czarnego orła, zdziwiłem się bardzo, bo myślałem że chyba oczy mnie mylą, ktoby to handlował żywymi orłami; patrzę więc dokładniej—naprawdę orzęł — przystępuję tedy do niej i pytam:

„Moja kobiecino, co wy chcecie z tym orłem zrobić.

Ano proszę łaski pana chce go sprzedać, bo może jaki pan amator złasi się na niego, przeciek w mieście żyją uczone, wypychają ptaki, to może który kupi na zabicie i wypchanie“.

„No dobrze ja kupię, ale jakżeście złapali takiego dużego ptaka“.

„Było to tak proszę łaski pana, chłopak mój pasł gęsi na polu, a że był deszcz więc wlazł do spróchniałej gruszki i nakrył się workiem, wtem patrzy się okropny orzoł spuszcza się na ziemię, najpierw struchlał, ale gdy zobaczył że ptak siedzi na ziemi — łup go pałką przez skrzydło i ułamał mu je — tak i ptak nie mógł się zerwać— nakrył go workiem i zaniósł do letników, żeby który kupił ale nikomu ta się niechciało, bo na nic taki ptak — ani pirze, ani mięso. Poradził mi, ale jeden letniak, aby za-

nieść do miasta, że jakiś z przeproszeniem łaski pana — znajdzie się frajer. Ale proszę pana nie taki głupi naród, nikt nie chce, kupić.

„No to ja wezmę“, wieleż chcecie?

„Co łaska, bo ja to wiem co to warto — mówił gołarz, że jakby był wypchany toby dał za niego rubla, ale za żywego, to nic nie chce dać.

„No to macie rubla — ja ptaka wezmę. Spojrzałem teraz na ptaka. Głowa piękną z dużym ostrym hakowatym dziobem, otoczony żółtym paskiem, oko brunatne, patrzyło z gniewem na ludzi. Znany to już symbol, orzeł ze złamanem skrzydłem — zdaje się jest już o tem mowa u Gorkija czy Dostojewskiego; mniejsza o to, zawsze to jednak robiło na mnie przykre wrażenie, postanowiłem chować u siebie ptaka na balkonie — a z czasem, jeśli zobaczę, że osowieje i życie staje mu się męczarnią, postanowiłem go zabić. Przywiozłem tedy orła do domu i puściłem na balkon — orzeł przedstawiał smutny widok. Był to ptak duzy, a złamane skrzydło wlokło się po podłodze. Ostrożnie podałem mu wody i rzuciłem kilka kawałków surowego mięsa. Orzeł zjadł je dopiero wtedy gdy się usunąłem — wogóle jadł wtedy tylko, gdy czuł, że nikt nań nie patrzy. Po dwóch dniach zaczął się posuwać po dość dużym balkonie, a nawet wystawiać głowę przez pręty balkonu na ulicę — skrzydło zawsze wlokło sie po ziemi. Gdym się doń zbliżał, wtedy przystawał i patrzył na mnie gniewnym wzrokiem. Wogóle nie widziałem, żeby mi okazy-

wał radość. Pomyślałem sobie „dumny w nieszczęściu“ zawsze wspaniały więzień. Żal mi było króla-ptaka -- chciałem mu dać więcej swobody -- ale bałem się, aby na podwórku nie drażnili go chłopcy i nie powiększali w ten sposób jego niedoli. W pewnym czasie dowiedziałem się, że kolega mój ma duży ogród gdzie orzeł; mógłby swobodnie przebywać postarałem się nawet o to, aby zbudowano dla ptaka budę na noclegi. Odwiedzałem codziennie ptaka i nareszcie przekonałem się, że ptak mię poznaje — na mój widok ruszał swem zdrowem skrzydłem i krakał, chodził po ogrodzie prędko, często nawet podskakiwał. W tem pewnego dnia, gdy przyszedłem do ptaka, doniósł mi stróż, że ktoś orła ukradł. Żal mi było ptaka—gdyż przyzwyczaiłem się do niezwykłego przyjaciela. Wypytywałem stróża, ogrodnika— czy może kto zabił ptaka, a oni boją się mi powiedzieć, niestety wszystko na darmo, nikt mi nie dawał wyjaśnień. Wyszedłem tedy smutny z tej kamienicy i odtąd upłynęło dużo czasu aż wreszcie zapomniałem o ptaku.

Pewnego razu zwiedzałem ogród bogatego pana w naszem mieście; miał on kilka klatek ze zwierzętami dla ozdoby ogrodu. Była tam duża klatka z małpami, klatka z jeleniami i sarnami i kilka jeszcze innych. Przechodziłem obok tych niepotrzebnych więzień, wtem, gdy stanąłem przed klatką z orłami — usłyszałem krakanie i bicie skrzydłem.

Patrzcie moi kochani to mój dawny orzeł siedział zamknięty i poznał mię po tylu miesią-

cach, poznał mię!—Pobiegłem do dozorcy ogrodu z zapytaniem, skąd on ma tego ptaka.

Odpowiedział mi, że przed kilku miesiącami sprzedał mu Orła jakiś chłopak.

Stało się więc tak jak się odrazu domyślałem, ptaka skradziono.

I któżby mógł przypuszczać, że ptak mię pozna.

Po tem opowiadaniu Foks się zadumał, a w klasie zapanowało milczenie.

„Proszę pana, Łatowski ma węża w domu“.

„Co takiego“?

„Łatowski ma węża żywego w domu“.

„Łatowski masz w domu węża?

„Tak proszę pana psora i przekonałem się żeți wąż poznaje ludzi, bo zrobiłem takie doświatczenie. Kilku kolegów stanęło rzędem, a ja między nimi. Wąż sunął się po podłodze i ominął wszystkich, a przedemną zatrzymał się i wyprężył — poznał mię. Teraz jak gwiżdnę, to on łeb z pudełka podnosi.

Dzwonek przerwał pogawędkę.

Mikuła poszedł do dyrektora i powiedział:

„Jeżeli pan Dyrektor naprawdę mówi, że mój uczynek mógłby zaszkodzić naszej szkole— to ja pójdę poprosić prefekta“.

„To bardzo dobrze”.

„Ależ proszę pana dyrektora — dlaczego z nami ks. prefekt nie chce porozmawiać“.

„Mój kochany“, wy chcecie odrazu wszystkich doskonałości. Ja ci narazie powiem to tylko, że z każdego nowego błędu cieszą się. Mądrej

głowie dość tego, idź i myśl o tem, com ci powiedział.

„A proszę pana D-ra czy zawsze u nas pojęcie dobrego polaka musi być połączone z pojęciem katolika“.

„Musi tak długo, jak długo jesteśmy w niewoli, musi bo to nasza tradycya — to nasz Chodkiewicz, Sobieski, Józef Poniatowski.

Chłopak wyszedł zadumany z kancelaryi dyrektora i udał się do prefekta, który przyjął go z wylaną serdecznością.

„Proszę księdza, przychodzę przeprosić za mój postępek chociaż ja chciałem — właściwie miałem na myśli zupełnie co innego, zupełnie co innego, ja bym prosił żeby z nami można czasem dyskusyę prowadzić.

„Idź mój kochany do klasy — ja ci przebaczam—nie czytaj głupstw a więcej się módl—

Mikuła odszedł — w myśli jego zaczęły się teraz walki — po raz pierwszy zrozumiał, że trzeba niektóre rzeczy znosić, tolerować dla innych celów, że w szkole, tak jak w domu są niektóre zjawiska, których wypada lub niewypada jemu jako dziecku wiedzieć, że na to chyba ta rada, żeby albo sobie w łeb palnąć, albo zająć się takiemi pozytywnemi naukami jak fizyka, przyroda, a tamte rzeczy zarzucić jako „czepucha“.

Najchętniej lubił Lechowski odbywać lekcye z uczniami klas niższych. Nie były to bowiem umysły zepsute rozmaitemi głupiemi teoryami ale jeszcze bardzo wrażliwe na piękne myśli—! Cieszyło go ich myślenie, wygłaszane zdania,

zapatrywania godne szlachetnych tradycyi, owoce „sztuki uczenia“. Z wielkiem zajęciem słuchał wykładów pedagogiki i metodyki. O ile nie dourzeczywistnienia wydały mu się szlachetne dążności uczonych pedagogów to jednak niektóre z nich wydały mu się możliwz do zrealizowania. Tak np. ponieważ istniały w klasie niemądre zwyczaje walania klas w tłusty czwartek smalcem, postanowił tak wpływać na młode umysły, aby same odczuły niewłaściwość takiego postępowania. Jakżeż ucieszył się gdy w tłusty czwartek uczniowie za pieniądze zebrane, w celu zakupienie smalcu i pączków — kupili kilka doniczek kwiatów i ozdobili nim okna klasy. Również podczas przerabiania lekcyi starał się Lechowski gorąco o to, aby uczniowie sami dawali odpowiedzi, wypowiadali sądy nieraz bardzo naiwne, ale dla zamiłowanego nauczyciela tak sympatyczne. Posługiwał się w tym kierunku zdaniem filozofów pedagogów—którzy uznawali, że koszarowe gromadzenie uczniów w klasach, konieczne ze względów materyalnych i społecznych — należy upiększyć „sztuką uczenia“, łączeniem trudnych zapytań z łatwemi, jednem słowem urozmaicaniem lekcyi. Popularności nie zdobywał Lechowski łatwymi frazesami o znaczeniu 1 lub 3 maja ale nauczaniem tak np. pewnego razu w 2 giej klasie przerabiał znany wiersz „A gdy jechał król na wojnę“, Rudecka zrobiła z tego wiersza propagandę nienawiści społecznej — antymilitaryzm i t. p. łatwych i popularnych haseł. Lechowski najpierw przeczytał uczniom ten wiersz potem kazał kilku

innym przeczytać pięknie ze zrozumieniem treści. Objaśnił niektóre nieznane dzieciom wyrażenia — poczem rozpoczął z nimi rozmowę.

„Czy naprawdę polne dzwoneczki dzwonią?“.

„Nie”.

„A dlaczego poetka powiedziała „dzwonią“.

„Abo proszę pana czasem jak gorący dzień, jak się w trawie leży, słychać na polu różne głosy owadów — świerszczów — i to się tak zdaje, że cała łąka coś gra!

„A lubił który z was w gorący letni dzień położyć się na miedzy wśród zboża?”.

„O ja bardzo lubiłem!

„I ja! i ja!, powiedziało kilku.

„I słyszeliście te piękne—tajemnicze grania wiatru na kłosach?”.

„Otóż widzicie, inaczej patrzy na świat poeta, a inaczej my patrzymy w zwyczajnych warunkach.

„A teraz na zakończenie powiedźcie mi, jakie byście obrazy wymalowali na podstawie tego wiersza?.

Tu znowu zerwało się kilku malców z proprojektami.

„Ja bym namalował ułana, jak się żegna ze starą matką.

„A ja bym namalował atak ułanów—a jak spada z konia trafiony kulą. —

„Jabym namalował łąkę, na niej krzak dzwonków liljowych—a obok niego leży trup Jasia—a przy nim koń stoi. —

„No to ładnie — na przyszły raz niech mi każdy jak potrafi narysuje w domu obra-

zek na podstawie tego wierszyka—ja będę oglądał.

„A teraz przejdźmy do gramatyki, chodź-no Skalski do tablicy.

„Napisz mi zdanie:

Idę do szkoły, aby się uczyć.

„W jakim celu idziesz do szkoły.

„Aby się uczyć.

„To powiedz mi jaką to myśl wyraża zdanie, „aby się uczyć”.

„Wyraża cel”.

„No to jak nazwiemy takie zdanie, a tu już cała klasa wykrzykiwała radośnie „to jest zdanie celowe”, a więc na jakie pytania odpowiadają zdania celowe?.

„Na pytania: po co, na co?

Ślicznie —

W ten sposób lekcya gramatyki — piła stała się lekcyą wesołą!

Lechowski żałował, że z powodu waśni w szkole nie może zyskać funduszów na to, aby gołe ściany „koszar szkolnych" ozdobić obrazami. Przecież to nie wielki wydatek, a tak bardzo przyczyniłby się do ożywienia i uczciwej radości życia.

Tymczasem Rudecka i Sławek działali w kółkach — które zaczęły poruszać tematy drażliwe — i tak uczeń 7 klasy Goldman ogłosił odczyt w kółku literackim: „Młodzież w Przebudzeniu wiosny” i w „Kandydacie na profesora”.

Ponieważ dyrektor Brzeski i Lechowski niechcieli pozwolić na taki odczyt w szkole, przeto Rudecka postarała się o salę w to-

warzystwie sportowem. W dużej sali zgromadziło się mnóstwo uczniaków i uczenic przeważnie żydów; wśród nich kręciła się jak fryga Rudecka i ulubieniec postępowych, prof. Sławek. Przyszły także postępowe nauczycielki, a więc głosicielka koedukacyi stara panna Koziołek, przełożona pensyi Tycińska, która ciągle nie wiedziała na jaki kierunek zdecydować się w swej uczelni, „aby stać się najmodniejszą", przyszedł sławny Zanecki, nauczyciel przyrody, który studjował i obmyślał strój postępowo hygieniczny dla panienek i czapkę zapinaną dla chłopczyków, przyszedł psycholog —Trajan, który ciągle narzekał, że nie uczą w szkole estetyki i nie badają historyi sztuki, przyszedł pan doktór Żajg, który wykazał, że w Panu Tadeuszu żyda schańbiono i że nie potrzeba nauki religii i literatury polskiej; ale powinnna być literatura powszechna i wielu tym podobnych wielkich reformatorów.

O godz. 10 wyszedł na katedrę kędzierzawy uczeń Goldman i z afektacyą pocierając ręką włosy i przerzucając kartki manuskryptu rzekł:

„W odczycie moim zwrócę uwage na 2 tematy, które trzeba poddać dyskusyi—a więc po pierwsze kwestya uświadomienia uczniów obojga płci w szkole średniej, a drugą kwestyą będzie, jakie stanowisqo mamy zająć wobec stanu dzisiejszej szkoły".

Wedekind w „Przebudzeniu" poruszył najkrwawszą tragedyę duszy młodej — przedstawia on w swej tragedyi do czego doprowadza obłudne wychowanie dzieci w wierze w „tra-

dycyjnego bociana", a również pokazuje nam jak urzędowa szkoła łamie, lub wypacza najpiękniejsze zdolności — w „Kandydacie" widzimy jak wśród zaskorupiałych w rutynie nauczycieli pojawia się siła młoda, która zdziera zasłony konwencyonalizmu, jak jednak jednostka taka jest pomiatana, gnębiona przez augurów wiedzy urzędowej. W obu tych dziełach stanowiących wiekopomny słup graniczny rozwoju wychowawczego, widzimy młodzież zgnębioną przez rutynę—widzimy jak ta młodzież rwie się do światła".

Po tych bojowych myślach nastąpiła analiza utworu z wyraźnem podkreślaniem uświadomienia i potępienie zaskorupiałych w rutynie nauczycieli. Huragan oklasków zakończył odczyt — rozgorączkowane twarze żydówek—pensyonarek lub gimnazyistek w pensyonarskich mundurkach, świadczyły o gwałtownej potrzebie nowych kierunków. Oczywiście na przewodniczącą dyskusyi powołano panią Rudecką.

Z udawaną skromnością, podziękowała ona za niezwykły zaszczyt — potem zasiadła za stołem i rozpoczęła przemowę:

„Dziękuję za zaszczyt kierowania dyskusyą, w kwestyi bardzo ważnej dla młodzieży.—Życie moje poświęciłem tej ciężkiej pracy i z radością witam nową epokę. Proszę się zapisywać do głosu—najpierw w kwestyi samego odczytu, a potem w kwestyi uświadomienia młodzieży i rutyny szkolnej. W tem stało się coś niezwykłego poprosił o głos Dr. Zajg i oświadczył, że mówić będzie w żargonie, gdyż język ten jest odpo-

wiednim dla żydów wolnych od tego przesądu, że mają mówić po polsku niby z wdzięczności za przytulenie ich do łona ojczyzny i to jeszcze wskutek hańby Esterki.

Rudecka sponsawiała, Lechowski znajdujący się na tem zebraniu krzyknął:

„Jakto mamyż gardzić polskim językiem, a używać jakiegoś szwargotu używanego tylko przez warstwy ciemne! nie znizać się do ciemnoty ale podnościć trzeba do światła— protestuję przeciw takiemu poniżaniu“.

Powstał hałas, pisk, wymyślania od polskich białych gęsi — aż gdy w drzwiach ukazał się komisarz z policjantami, całe dzielne zgromadzenie jakby pod ziemię się zapadło, uciekało na łeb—na szyję, pozostali tylko na sali Lechowski, Rudecka i stary Kóżma.

„No widzi pani—do czego doprowadza się ustawicznem pochlebianiem tłumowi...

„Przepraszam ja nie pochlebiałam, ja miałam jak najszlachetniejsze zamiary.

„Tak ale nie zwróciła Pani uwagi na to, że żyd nigdy nie będzie prawdziwym polakiem bo żyd nienawidzi Kościół i swego dobroczyńcę Polskę.

„To pan się myli — gdyż pan uważa, że tylko ten jest polakiem, kto jest katolikiem, to był pogląd dobry w epoce Skargi — dla żydów nie mam pogardy — tą drogą z nimi nic nie zrobiemy“.

Na to stary Kóżma się odezwał:

„Jakżeż ma pani nimi pogardzać, kiedy oni płacą Pani po 2 albo 3 ruble za godzinę litera-

tury powszechnej, bo nie wolno mówić polskiej".

„Pan mię obraża".

„Nie Pani — nie obrażam, ale jeżeli pani jest naprawdę inteligentną kobietą, to chyba Pani wie dobrze, że żydzi są trucizną Polski a tembardziej teraz, gdy czują za sobą inne wyższe poparcie.

Ja nie przeczę, że mogą być między nimi Berki Joselowicze, ja nie przeczę, że możliwy jest taki żyd z Pana Tadeusza, albo z Kościuszki pod Racławicami, albo z komedyi Korzeniowskiego, ale proszę pani to są żydzi papierowi—to są marzenia; prawdziwi żydzi nienawidzą Kościoła, a więc nas gojów i jeżeli nie mordują nas to tylko z obawy przed zemstą. Zresztą poco oni mają mordować, kiedy oni zatruwają na każdem kroku życie społeczne.

„A więc rezultat ostateczny pańskim zdaniem zerwać z nimi, i pogardzać nimi".

„Nie proszę pani — odrazu pani programu nie mogę stworzyć, ale zdaje mi się, że wszelkie wysiłki będą pracą Danaid."

Rudecka obraziła się, kiwnęła głową i już chciała wyjść, ale jeszcze zatrzymała się i powiedziała:

„Na zakończenie powiem panu jakie miałem wczoraj zdarzenie. Wieczorem wracałem z wykładu w „Żagwi", wtem słyszę biegnie za mną jakaś osoba. — Oglądam się, a tu przypada do moich rąk i całuje je jakaś szesnastoletnia żydówka w stroju bardzo biednym i dziękuje mi ze łzami.

„A jajaj pani to tak do serca mówi, ja jeszcze nigdy takie mowe nie słyszała, a jajaj— żeby to ja mogła być taka mądra.....

Widzi pan, o to nagroda — trzeba naprawdę poświęcić się temu motłochowi, to może z nich się i wykrzesze miłość dla nowej — niezawisłej od przesądów Polski.

Po tych słowach wyszła. Kóżma machnął za nią ręką, a potem rzekł do Lechowskiego:

„Nie ma co nad tem zastanawiać się wszystko to faramuszki — papierowe teorye — a najwięcej to mie gniewa, jak baby zabierają się do roboty — niby to społecznej. — One mogą być królowemi w mieszkaniu, ale na arenie publicznej, to na djabła się zdało.

Na to rzekł Lechowski:

„Mój panie niestety, nie wszystkie mogą wyjść za mąż i nie wszystkie tak bardzo pragną tego szczęścia, — jeżeli to możnaby nazwać szczęściem—więc cóż dla nich pozostaje. — Nie każda chce być tylko szwaczką, ale jeżeli może się kształcić to chce zająć wybitniejsze stanowisko i mieć lepsze wygody w życiu — tak jak każdy z nas. My dlatego tak się gniewamy, bo nas złości konkurencya — bo widzi pan, mnie życie przedstawia się jako wstrętna walka o byt— tylko na prawdę silniejszy ma prawo do jakich— takich ulepszeń kulturalnych—tak jak w teatrze zupełnie inaczej podziwiam sztukę z bliższych miejsc niż z ostatnich, gdzie muszę wyginać kark! Tak panie — złoty cielec.....

„Eee—niema co gadać widzę, że pan dziś smutny, chodźmy!

Lechowski czuł się naprawdę bardzo źle. Nigdy nie uderzyła go tak widocznie i brutalnie walka o byt jak teraz—dlatego zaczął sobie wyjaśmiać wszystkie objawy, a więc i zaczął rozumieć nienawiść żydów i bunt robotniczy.— Człowiek stale odpychamy od wykwintnego życia—widząc jak inni się bawią — a zmuszamy ciągle myśleć tylko o tem, aby wystarczyło na jedzenie — „na żarcie", jak drwiąco mówił Gałek — taki człowiek musi zgromadzić w swej duszy zapas niechęci do istniejącego „porządku", w takim człowieku musi wzbudzić sie w duszy chęć do zmian, przewrotów, bo zawsze one dają mu nadzieję, że mu będzie lepiej — a już i ta illuzya bardzo wiele znaczy. Zrozumiał teraz Lechowski, dziecko w życiu praktycznem, dlaczego to Dr. Gałek nie mógł nigdy śmiać się na prawdę szczerze, zrozumiał teraz, dlaczego to jego matka nie mogła znieść hałaśliwego serdecznego śmiechu dzieci, dlaczego ją to drażniło.

Niedostatek—krzywi duszę — nędza i niemożność wydobycia się, ze wstrętnych jej objęć narzuca człowiekowi myśli rozpaczliwe.

Przypomniał sobie teraz, że tak często oczy jego padały na słowa drukowane w kronice kuryera: samobójstwa, ale wrażliwość stępiała. Teraz to wszystko z jakąś dziwną siłą zaczęło się mu cisnąć do oczu, gryźć mózg i palić nierozjaśnieniem zagadki. Zrozumiał panowanie teoryi i frazesów o miłosierdziu, miłości dla bliźnich — tak teraz wie, co to papierowe dusze!

A miłość? — Ta dziedzina leżała jakby odłogiem, dotąd w duszy Lechowskiego. Nigdy jeszcze nie zastanawiał się nad nią głęboko — Czyżby ona dlań nie istniała? Miłość kobiety nie zajmowała dotąd wybitnego miejsca w duszy Lechowskiego. Może dlatego, że w domu słyszał tylko ciągle: trzeba się bardzo uczyć bo jak będziesz miał stanowisko, to gwizdniesz, a na każdym palcu będziesz miał po dziesięć sztuk tego towaru.

Raz już po maturze ośmielił się zapytać matki:

A dla czegoż mama wyszła za mąż?

„Bo byłam głupia — zresztą byłam chowaną na wsi, miałam lat 14 jak mię wydali za mąż; nieszczęśliwą jest kobieta — przeklęty jej los.

„No a proszę mamy czyż każdy mężczyzna musi być taki zły dla kobiet".

„Bo ja wiem — może są lepsi czy szlachetniejsi gdzieindziej — może w powieści — z tych co znałam to każdy jest mniej lub więcej sprytnym i udającym — może dlatego, że wasza natura jest już do tego skłonną — może być, że musicie być takimi, „a stryj kanonik"?.

„Ach! oni jako księża to straszni. Trzech miałam w rodzinie. — Boże jakież haniebne rzeczy się działy. — Czyżby oni chcieli się żenić — nigdy — to tylko jacyś szlachetniejsi między nimi wyrwą się z tem żądaniem, ale ogół — ogół woli być w kawalerskiem stanie, bo to wygodniej, weselej, swobodniej.

„Teraz przypomniał sobie Lechowski, jak stryj Marcin, Kanonik, który dawał na utrzymanie, przyjeżdżał do nich do domu, ze swojej parafii ze wsi, jak przebierał się po cywilnemu i bawił się; jak w przebraniu jeździł za granicę i ztamtąd przywoził fotografie „aktów“ i piosenki, przy których matka zawsze pluła z pogardą. Przypominał sobie jak matka nieraz ostre robiła wymówki stryjowi Marcinowi, że tak haniebnie obszedł się ze swoją kucharką i dziećmi, jak stryj śmiał się tubalnym głosem i mówił:

„Ha! ha! moje dziecko — trzeba praktyczniej patrzeć na świat — ne scandalus fiat — aby tylko nie było skandalu, to już dobrze.“ —

Razu pewnego opowiedział stryj Marcin wesołą anegdotę jaka się u niego na plebanii podczas odpustu zdarzyła. Był odpustowy obiad przy którym pito na zabój — otóż po trzech godzinach zabawy — krzyknął dziekan, że trzeba iść na adoracyę. — Poszli tedy zaraz, obawiano się ostrych jego wymówek.

Dziekan bowiem z powodu choroby, żołądka nie mógł pić, chorobliwie tedy przestrzegał przepisów.

Przyszli księża przed główny ołtarz i padli krzyżem dla adoracyi. Przed głównym ołtarzem był miękki dywan — pijani plebanie przychylili głowy i posnęli.—A lud zaczął gromadzić się na nieszpory. Ach! co miał wtedy za kłopoty pan organista z wynoszeniem zemdlałych od przepracowania pasterzy.

Tak więc z czasów młodości „sielskiej —

anielskiej“ wyniósł Lechowski wstrętne pojęcia o miłości. Była ona dla niego wyrazem oznaczającym stosunek płciowy, a rezultatem jego dziecko, popularnie nazywane bachorem lub bękartem, drącem się po całych dniach i nocach. Panny z tych lepszych domów — piękne jak laleczki, jak figurynki, zaczął dopiero poznawać w 7—8 klasie. Wtedy zaczął pisać poematy — ale już wtedy zauważył, że poważniej myślące panny nie patrzą na smarkaczy uczniaków, a te znowu, które flirtowały z uczniami miały opinie „lafiryndy“. Czasy te przyniosły także jeszcze jedno przykre dla Lechowskiego wydarzenie‘ a mianowicie koledzy wprowadzali go w świat. Kiedy starszy kolega Roman wprowadził go do takiego przybytku — i oznajmił damom, że przyprowadził nowicyusza—radość zapanowała w pensyonacie. Każda chciała mieć nowicyusza dla siebie. Lechowski czuł, że się wstydzi, i spuszczał oczy — Wtedy poznała go biała Kazia i zamknąwszy drzwi za sobą odpięła przed nim szlafrok i zawołała: „Całuj“. — Rzucił się do jej piersi — nóg — zaczął całować jużto delikatnie jużto gwałtownie — krew uderzyła mu do głowy.

A tymczasem Kazia wyprężyła ręce za sobą —delektując się zapałem młodzika—potem przechyliła się na otomanę. Chłopak rwał się... ale stara rozpustnica chciała nasycać się rozkoszą powoli — więc kazała mu się rozebrać.

Drżącemi rękoma chłopak spełnił polecenie, a potem przybliżała mu usta duże czerwone do brodawek piersi; szalone rozkosze łas-

kotania i podniecenia wyprężyły ciało Lechowskiego--nastąpiło wstrząśnienie, a gdy to zobaczyła Kazia, rzekła ze wstrętem i przekąsem:

Fee... —

Za wcześnie—powalałeś mi szlafrok.

W tej samej chwili Lechowski odczuł wstręt do tego, co przed chwilą wydało mu się czarodziejskiem.

Teraz widział wypudrowane i wyróżowane stare rysy i zmarszczki, drażniły go tanie perfumy. Przypomniały mu się nagle śmiechy kolegów w szkole, gdy czytano p. Tadeusza i miejsce o mrówkach. Ubierał się prędko — rzucił pieniądz, nie chciał się myć, choć mu Kazia miednicę podstawiała — wybiegł na ulicę, z uczuciem okropnego obrzydzenia. Przypomniał sobie słowa prefekta:

Rozpusta podobna do pięknego owocu na wysokiem drzewie — grzesznik dąży do niej, choć droga ciężka, a jednak łamie wszystkie trudności, aby zdobyć owoc — wreszcie dopiął celu—zrywa owoc, gryzie, ale owoc robakami stoczony — wstrętny. I rzuca człowiek owoc, a ból i wstyd opanowywa jego serce.

Ach jak było mu wstyd tego uczynku, zdawało mu się, że każdy na ulicy patrzy na niego i pokazuje nań palcami. Jednakże obrzydzenie to panowało niedługo, po dwóch goozinach znowu zaczęły mu się przypominać pieszczoty —tak dziwnie drażniące. Żądza zaczęła się tak w nim potęgować, że myślał teraz tylko o tem, aby zdobyć pieniądze. I zaczęła się droga upadku. Aby zdobyć pieniądze trzeba było sprzedać

książkę. Pieniądze, które dawniej dostawał za korepetycye i wszystkie oddawał matce teraz chował, tak teraz niemi kierował, aby sobie część zostawić. Chodzenie do jam stało się nałogiem. Po pierwszych uniesieniach zaczęło się krytyczne badanie otoczenia, a więc spostrzegł, że jeżeli przynosi ze sobą cukierki, to wtedy damy okazują więcej zapału. Zwierzał się również przed kolegami, których dawniej unikał. Koledzy ci więcej uświadomieni zaczęli go odpowiednio pouczać:

„Ha! ha! to ty jeszcze płacisz, trzeba sobie znaleźć taką, żeby ci się oddawała na miłość.

Równocześnie z objawem przebudzenia wiosny, zaczęły się inne brukania serca. A więc aby się podobać, zaczął teraz dopiero dbać o wygląd mundurka, o piękne buty. Aby to wszystko mieć trzeba mu było pieniędzy—dużo pieniedzy. Skąd je brać?—zaczął się teraz rozpatrywać w otoczeniu. Matka nie mogła da bo nie miała — a więc trzeba było zdobyć korepetycye. Teraz zauważył, że starsi nauczyciele niechętnie dawali lekcye tym, którzy mieli złą opinię, czyto u prefekta, czyto u innych nauczycieli. Trzeba więc było zdobyć sobie ich zaufanie, a względnie ich sympatyę. Tak więc, aby zdobyć dla siebie prefekta za czął mu służyć do mszy, gdy zaś koledzy się z niego wyśmiewali, że taki gorliwy nabożniś— starał się przypodobać prefektowi czyto donoszeniem, kto z uczniów nie chodzi na mszę, lub też pomaganiem w ubieraniu ołtarzy na Boże Ciało, Majowe nabożeństwa i t. p. De-

wizą jego teraz stało się przysłowie „Pokorne cieie dwie matki ssie“.

Dzęki łaskawości prefekta dostawał dobrze płatne korki w chrześćjańskich domach; dyrektora pozyskał sobie tem, że pomagał w noszeniu książek do biblioteki, w zapisywaniu map podczas dni wolnych od nauki lub zdawaniem lektury Homera, do którego okazywał zapał (dyrektor był zamiłowanym filologiem). Innych nauczycieli pozyskiwał tem, że zgłaszał się do nich po książki z ich przedmiotu, aby pogłębić wiedzę.

W ten sposób zdobył sobie Lechowski dobrą opinię u nauczycieli i niedługo miał tyle lekcyt, że zaczął się kłócić o wynagrodzenia. Już teraz nie chciał brać lekcyi niżej 15 rb. miesięcznie. Po maturze, jako student uniwersytetu, przedstawiał doskonałą partyę dla takich rodzin, któreby chciały koniecznie wydać córkę za pana doktora lub mecenasa, zobaczył, że ta żądza tytułu, robi wrażenie i ułatwia wstęp do serc panienek ze sfery „inteligencyjnej“. Niestety ta łatwa miłość zaczęła w nim wkrótce wzbudzać wstręt, jużto z powodu swej łatwości, jużto z powodu natury, którą opanowywało obrzydzenie po każdym upadku i w której tkwiło i poszukiwanie czegoś innego, wznioślejszego—czystszego, niż ten codzienny brud. Wtedy rzucił się do lektury Byrona, do lektury Słowackiego — zaczął przejmować się literackim pesymizmem —prowadził namiętne dyskusye o istnieniu czystej sztuki, wolnej od jakichkolwiek tendencyi. Zbierano się w uniwersytecie, na kółkach,

ale dyskusye z koleżankami wywoływały zupełnie inne nieoczekiwane dlań rezultaty. Ostatecznie obrzydzenie do świata zaczęło się zagnieżdzać w sercu Lechowskiego. Stworzenie szkół polskich w Królestwie porwało go. Uważał je za rodzaj legionów, jakby przed 100 laty w epoce Napoleona — więc rwał się do czynu i na wezwanie Brzeskiego pospieszył.—Jednakże wkrótce spostrzegł, że z pod szablonu szkoła ta wyrwać się nie może, że musi robić ustępstwa, że musi się różnymi względami powodować, że ostatecznie redukuje się w większości wypadków do przedsiębiorstwa. Różnorodność idei — nowe walczące falangi robotników i polityka żydów wprowadziły w jego duszę chaos.

Postanowił tedy rzucić się trochę w wir zwykłego życia — począł szukać awantur miłosnych czyli jak usprawiedliwiał się sam przed sobą szukał bratniej duszy. Miało to być otrzeźwieniem po bujaniach w sferach obłoków.

Miał kilka godzin na pensyach żeńskich. Do pensyi żeńskich miał uprzedzenie — może z powodu lektury „Emancypantek“, może dlatego, że czuł się wobec kobiet skrępowanym i obawiał się ich plotkarstwa. Raziła go również blaga umieszczona w programach szkolnych, w 7 klasie umieszczano kilkanaście przedmiotów takich jak np. prawo, ekonomia polityczna, pedagogia, logika, psychologia, fizyologia, a oprócz tego cztery obce języki, literatura powszechna, 3 matematyki, fizyka, historya powszechna i polska. Niecierpiał też popisów przy końcu roku szkolnego,

tych konwencyonalnych deklamacyi, odczytów na temat miłości ojczyzny, wielkich zadań jakie je czekają, misyi społecznych, pracy dla ogółu i t. p. te wszystkie frazesy drażniły go. Jednak lekcyi na pensyi się nie wyrzekł — drażniły go w sposób niezwykły te zgromadzenia półdziewic — te ich niby poważne, a kokieteryjne spojrzenia, lubiał patrzeć na te młode wykłuwające się piersi, lubił obserwować niezwykłą w pewnych dniach bladość twarzy i podkrążone oczy.

Obecnie był na pensyach popularny, gdyż na jego publiczne wykłady gromadziło się sporo mam — pociągała ich piękność prelegenta i dobra jego wymowa. Nieraz śmiał się z niego Gałek i mówił:

„No czemuż nie żądasz 5 rb. za godzinę, nawet 10 ci dadzą, boś okryty sławą patryoty za to wystąpienie przeciw żydom na odczycie.

Jesteś teraz popularnym, ale nie rób sobie nic z tego, że jeśli ty masz 3 rb. za godzinę blagowania, to twoje koleżanki mają za godzinę ork 20 kop. Nikt tak kobiecie nie dokuczy jak druga baba.“

Lechowski nie śmiał mu zaprzeczyć; rzeczywiście uprzytomnił sobie, że ile razy miał wykład na pensyi to grał wielką komedyę przed samym sobą, a więc starał się mówić pięknym, przytłumnionym głosem, nie używał żadnego podręcznika, patrzył w oczy pannom, zwłaszcza jeżeli wykładał okoliczności opisujące miłość. Był też ulubieńcem panienek i niejako urzędowym przedstawicielem „miłości ojczyzny i wysokich ideałów — frazesów“.

Wkrótce przekonał się Lechowski, że pod tym względem doszedł do szalonej wprawy. Jednakże gdy po obiedzie nastawiał dużą maszynkę czarnej kawy, zalewał się likierem i utulał dymem cygar, wtedy lubił rozmyślać nad sobą: oto jestem aktorem, oto występowałem przeciw obłudzie, a gram komedyę nawet przed samym sobą, oto nie wierzę w żadne ideały, które wygłaszam, a jednak niemi operuję jak zongler i biorę zato pieniądze. Przypomniał sobie dziennikarza z Wesela — i pił. Jednakże wstyd mu było przyznać się przed Gałkiem, jaki teraz stan jego duszy. Nie chciał przyznać się, że w jego sercu pustka — że jest tylko egoistą o chamskiej żądzy życia, że mówi co innego, a postępuje inaczej, że chodzi mu tylko o to, aby zarobić, że jest zwolenikiem tego taktu w życiu — wiedząc dobrze, że tak zwany porządny człowiek jest najczęściej skończonym łotrem, że porządek społeczny i jego stróże bronią spokoju sprytnych oszustów życiowej polityki.

Pewnego dnia po obiedzie siedział Lechowski w swoim pokoju zadumany, gdy w tem usłyszał pukanie do drzwi. Powstał — i zapytał, kto tam; gdy mu nikt nie otwierał—podszedł do drzwi i otworzył je. W tem cofnął zdumiony, do pokoju jego weszła uczenica 7 klasy Janinka.

„Zamknął za nią drzwi i zapytał:

„Panno Janino — pani tu do mnie?

Jednocześnie przypomniał sobie, że dostawał od pewnego czasu, kwiaty zwłaszcza tuberozy, a na ich nieskalanej bieli listkach były wy-

pisane słowa kocham — uwielbiam lub litery J. M. — a więc to ona. Pochlebiało mu, że ma takie powodzenie.

W tem Janka oparła się o fotel i rzekła szeptem:

„Przebacz mi pan!

Lechowski podskoczył do niej i rozerwał kołnierz futrzany na szyi:

„Panno Janino więc to od pani te kwiaty?!

„Przebacz mi pan, ja pana uwielbiam — pan swojmi wykładami oczarował mi duszę. Lechowskiego zaintrygowała cała ta scena, najpierw po raz pierwszy miał do czynienia z taką młódką 15 letnią, potem zaczęła w nim grać krew.

Rzeczywiście Janka mogła podrażnić nie tylko takiego jak on taktownego człowieka. Usiadła na fotelu, przymknęła oczy, a od rozchylonych purpurowych warg zaczęło bić takie gorąco, że Lechowski począł tracić spokój. Miał skrupuły, lecz w tejże samej chwili przypomniał sobie opowiadanie o tym pokutniku, któremu za pokutę kazał ksiądz jeść siano — ponieważ nie skorzystał z chwili—postanowił wykorzystać do pewnego stopnia sytuacyę.

Janka pokochała egzaltowaną miłością wykładającego poezyę profesora. Lechowski patrzył na nią żarłocznie — skręcił klucz w drzwiach, następnie zaczął całować jej gorące czoło—-jednak równocześnie z lekka dotykał jej twardych piersi lub też przyciskał ją całą do siebie. — Dziewczyna widać doznawała szalonych rozkoszy — drgała, wiła się całem ciałem—falując piersiami,

brzuchem — jakby kłębiły się grzywy morskie— ustami przywarła do ust Lechowskiego — wsuwała mu swój język w usta — rękoma dotykała jego piersi.

Lecz gdy już u mężczyzny męka miłości przeszła, cofnął się i zaczął grać dawną komedyę.

„Proszę pani, co my robimy?

Przypomniał sobie jakie skutki mogło by mieć jego postępowanie, skarga rodziców — kompromitacya — plotki. Zapanował tedy nad sobą i rzekł:

„Dość tego — wierzę, że Pani mię kocha, ale właśnie dlatego żądam od pani poświęcenia. Dla mężczyzny zapomnienie nie jest strasznem, ale dla panienki. — Czy pani wie, coby Panią mogło spotkać!

Niech pani nie przejmuje się poezyą, ani mojemi wykładami. — Mam zapłaconą lekcyę, więc gram przez 50 minut komedyę — niestety i Słowacki i Krasicki i Mickiewicz, kochali, jeżeli to jest wogóle miłość, często realnie — niech mi pani wierzy, że zaspokojenie tej żądzy wstręt przynosi.

Janka patrzyła nań zdziwiona — pospiesznie ubrała się i wyszła.

Lechowski szepnął: Żal mi, że się plamią kwiaty tuberozy.

Żal mi ich — ale dla mnie ta chwila miłą zostawia pamiątkę—rozumiem „Półdziewice Prewosta!!

Wypadek z Janką wywarł na Lechowskim głębokie wrażenie przedewszystkiem dlatego, że zdarzyło mu się to po raz pierwszy

powtóre dlatego, że smutek i wstręt do życia zaczął w jego sercu przybierać co raz większe rozmiary. Zrozumiał, że kabotynizm rozwinął się w nim już w wysokim stopniu, że idee którym służył wydały mu się jałowe—wyblakłe —bez żadnej świeżości. Ponieważ wykładał literaturę w 4 szkołach był zmuszony ciągle operować tym samym materyałem. Mówił przeto o piękności poetów, nawet już nie myśląc o tem, co mówi. Najpiękniejsze wyjątki, które dawniej podniecały w nim zapał i energię do pracy teraz nietylko wydały mu się nędzne, marne, ale wprost drażniły go.

„Spoufaliłem się zanadto ze świętościami“, przypomniał sobie słowa Kanonika stryja Marcina. Opowiadał mu ten jak przykrą misyą w zawodzie kapłana jest ta konieczność przebywania na koturnach wobec publiczności. Dlategoż gdy się zjeżdżali księża na karty pozwalali sobie na najgrubsze kawały, aby w ten sposób powetować sobie nienaturalne stanowisko. Tak tedy konieczność zawodowa każe odgrywać komedyę i nie powinienem — mówił do siebie Lechowski — przejmować się temi myślami. Pomimo jednak tych przemówień „do rozumu“ apatya rozwijała swe sieci i wysysała energję.

Podsycała ją nie odpowiednia w takich razach literatura, a więc pogłębieniem się w myślach Hamleta lub jego kopii w „Bez dogmatu“, a nadto w rozpaczliwej literaturze Młodej Rosyi. Do tego przyczyniła się także sprawa szkolna.

Już w drugiem półroczu zauważył Lechowski zmniejszenie się ilości uczniów, a mianowicie większość uczniów żydów zaczęła przechodzić do szkół rządowych, na pozostałych wywierał silny wichrzycielski wpływ Sławek i Rudecka. Na kółkach w ich mieszkaniu odczytano „Dzieje Grzechu“.

Lechowski nie mógł przełamać w sobie tego „konserwatywnego uprzedzenia", że o takich... rzeczach nie powinno się z uczniami rozmawiać. Wskutek tego nie posiadał wielkiej popularności u uczniów — jakkolwiek oceniali wszyscy jego staranność w wykładach i sumienne poprawianie robót piśmiennych.

Ponieważ Lechowski nie chciał, aby na kółkach prowadzono dyskusyę o temacie z jednej strony zupełnie nieodpowiednim dla młodzieży, z drugiej strony niemożliwym do dyskusyi, gdyż ani doświadczenie życiowe ani przygotowanie naukowe nie mogło mieć miejsca u uczniaków nawet 6-ej lub 7-ej klasy — a tylko zaczęłaby się frazeologia, przeto postanowił skierować dyskusyę na inny temat.

Poprosił tedy ucznia — przewodniczącego o głos i zadał pytanie, które musiało uderzyć uczniów swoją niezwykłością, a mianowicie rzekł Lechowski:

„A czy „Dzieje Grzechu“ to dzieło sztuki?

„Jakto—to dziwne pytanie przecież to dzieło Żeromskiego.

„Bardzo ładnie — ale czy to dzieło artystyczne? a gdy uczniowie nie wiedzieli, co powiedzieć, Lechowski mówił dalej:

„A zatem zadajmy sobie inne pytanie— co to znaczy dzieło sztuki, czyli co to znaczy „piękno". Musimy tedy najpierw zastanawiać się nad tem, co to jest estetyka — bo z tym wyrazem spotykacie się często—wartoby zrozumieć to pojęcie -- widzicie np. jakiś posąg i on się wam podoba—jak wtedy mówicie.

„Że posąg jest piękny.

„A gdy widzicie kwiat - np. tuberozę białą różę, to jak mówicie?

„Że kwiat jest piękny.

„A teraz pomyślcie, czy patrząc na taki posąg lub kwiat,który się wam podoba — doznajecie uczuć zadowolenia—jakiejś tajemniczej radości.

„Tak doznajemy.

„A więc pojmujecie teraz, co to jest rozkosz estetyczna?

„Tak rozumię—to jest uczucie zadowolenia na widok piękna.

„Otóż zapamiętajcie to sobie, że filozof Kant—nazwał takie uczucie rozkoszy estetycznej „upodobaniem bezinteresownem".

Teraz pójdziemy dalej — zastanówmy się co to jest zabawa? kiedy wy się bawicie.

„No jak nie mamy nic do roboty — albo jak lekcye skończymy — albo aby zabić czas i nie nudzić się.

Widzieliście, jak małe dzieci biegają — skaczą, krzyczą, jak starsi grają w tenisa — czy ta zabawa płynie z tego powodu, że oni mają w tem jakiś interes, jakiś cel.?

Ja myślę, że nie — rzekł jeden z uczniów.

Mikuła, który jak widać było, zaczął smakować w myśleniu rzekł, że dzieci dlatego się bawią, iż mają dużo sił—dużo ochoty do życia—i dlatego skaczą, krzyczą.

„A zatem z czego ich radość wypływa? Ja myślę, że radość ich ma źródło w samej tylko zabawie, a że celu żadnego one nie mają—jest to taka konieczność życiowa — bawią się, bo taka zabawa zajmuje im przyjemnie czas.

„Uważajcie teraz—otóż znowu spotykamy się z wyrazem przyjemny, ale już w innem oświetleniu.

Powtórzymy sobie ten wniosek do którego doszliśmy — dlaczegoż tedy dziecko się bawi?

Dlatego, że ma zadowolenie z tego, iż coś robi z przyjemnością.

A teraz pomyślmy, czy rozkosz, jaka płynie z takiej bezinteresownej zabawy—jest podobną do rozkoszy estetycznej.

Tak, rozkosz estetyczna jest podobna do rozkoszy płynącej ze zabawy, chociaż nie całkiem.

„Bardzo dobrześ to odgadł—a powiedz dlaczego?

„Dlatego proszę pana profesora, że przecież nie może być to samo zabawa w koniki i radość z oglądania obrazu lub słuchania muzyki.

Słusznie, a teraz uważajcie, jeśli wam pokażę kilka oddzielnych barw - np. purpurową,

żółtą, fioletową, zieloną lub inną, to czy te barwy bawią oko?

„Do pewnego stopnia tak—

„A gdy ja z tych barw zrobię taki użytek, że niemi namaluję obraz, czy wtedy wasza rozkosz estetyczna z patrzenia na obraz i połączenia tych barw będzie wyższą, większą.

„Naturalnie.

„A jeśli patrzę na obraz, a obraz ten wyraża jakąś myśl—czy wtedy nasza rozkosz estetyczna będzie większą czy nie?

„Tak.

„Przy muzyce można myśleć i marzyć, fantazyę pobudzać.

„A widzisz jak ci dobrze kolega odpowiedział — muzyka pobudza działalność fantazyi.

„A dlaczego do rzędu sztuki należał taniec, zapytał inny uczeń.

„Dlatego że wykonywano piękne ruchy!

„I pod wpływem czego wykonywano te ruchy?

„Pod wpływem rytmu — widzicie jak to z jednej myśli można wysnuć drugą i tworzyć własny gmach myśli.

Weźmy poezyę — jakże ona działa na nas — czy tylko na zmysłowe odczuwanie, jak przy muzyce!

„Nie—bo w słowach są myśli — a myśli poety zmuszają nas do zrozumienia treści, albo sobie tworzymy z tych obrazów poety w własnej głowie obrazy.

Przepraszam — rzekł jeden z uczniów —

a dlaczego odczuwam radość, kiedy rozwiążę trudne zadanie matematyczne.

„Dlatego, że działały władze umysłowe — i działanie to jest zbliżone również do rozkoszy estetycznej.

W tem zadaniu, był „interes“ czyli „cel”.

Przecież i teraz słyszymy te słowa „obraz jest piękny lub obraz jest interesujący.

A widzicie, że pojęcie rozkoszy estetycznej zawiera 2 części składowe t. j. piękno i zainteresowanie czyli rozkosz działania czynności zmysłowych i umysłowych.

„Jeżeli czytamy o nieszczęśliwych losach bohaterki to dlaczego ku niej odczuwamy sympatyę?

„Bo widzimy jej walkę ze złem — szlachetną chęć poprawy bytu ludziom — niemoc szlachetnych usiłowań. Dlatego rozumiemy niedolę Hamleta — niedolę Antygony. Chociaż dzieła te mają setki lat istnienia, to one robią wrażenie, bo piękno ma stałe nieśmiertelne pierwiastki.

No, a dlaczego proszę pana jeden obraz mnie podoba się np., a drugiej osobie się niepodoba?

„Dlatego, że u jednego w większym stopniu, a u drugiego w mniejszym są rozwinięte zdolności odczuwania.

„A dlaczego etyka nie stoi w związku z estetyką?

„Jestto mylne przekonanie, rozważście, że najwięksi twórcy-artyści poświęcali swe zdol-

ności stworzeniu postaci religijnych jako najdoskonalszych. Tak np. Fidyasz tworzył najwyższego Boga-Zeusa, Michał Anioł Mojżesza, Boga Stworzyciela—Sąd; jednakże nie twierdzę że celem sztuki jest tworzyć dzieła zgodne z etyką—tylko jej podległe; dowcipy Zagłoby dają nam także chwile rozkoszy estetycznej. A chociaż dziś w was wmawiają, że dzieła Sienkiewicza to chwalenie konserwatyzmu – to jednak musicie przyznać—choćby w głębi serca, jeżeli nie macie odwagi cywilnej jawnie przyznać, że to są arcydzieła.

Dlatego wzywam was do zajmowania się pięknem, bo zajęcie to wyrwie was zawsze z objęć niskiej i podłej rozrywki!

W ten sposób udawało się nieraz Lechowskiemu sprowadzić dyskusye z pochyłych i śliskich ścieżek. — Jednakże nie znajdywały te usiłowania odblasku w sercach większości uczniów, gdyż nie pochlebiano instynktom tłumu, dyskusye takie zmuszały do myślenia, do zastanowienia się, a takie zajęcie nie było lubiane. To też Lechowski chodził coraz smutniejszy, coraz więcej rozdrażniony pracą, o której mylnie myślał, że będzie bezowocną.

Dyrektor Brzeski postanowił spełniać swe obowiązki tylko do końca roku szkolnego.

„Nie mogę—mówił on do Lechowskiego, dłużej w takich warunkach pracować — może być, że ja mam za stare poglądy — wracam do mej naukowej pracy, na którą w tych warun-

kach absolutnie nie mam czasu; jednak to wstyd ale muszę powiedzieć, że szczęśliwy jestem z rządowej emerytury — bo przynajmniej nie mam tylu dobrodziejów nad sobą — a tu!

Przecież ten Silbertopf wyraźnie okazuje mi niechęć. Widzi pan jednemu trzeba napluć w oczy — wprost, to może się obrazi, ale dla mnie dość skrzywienia nosem, abym odczuł, że jestem niemile widziany. Za dużo tu rządców, za dużo blagi w sprawie reform—każdyby chciał wprowadzić swoje metody — a ja nie mogę absolutnie na takie gospodarstwo pozwolić.

Powiedz pan otwarcie, jak powinno być tutaj w naszej budzie?

„Proszę pana może to dlatego tak źle, że to początki — a może... Nie, naprawdę nie mogę zdać sobie sprawy z tego wszystkiego.

Brzeski nie był zadowolony z takiej polityki, dodał tedy zgniewem:

„Nasza taktyka stała się obecnie polityką hidalga, hrabiego - żebraka. Z dumną miną odtrąca się prawa. Młodzież myśli (o ile w dobrej wierze), że postępuje w myśl wielkich idei. Oczywiście w takim wypadku nie rozumią, że są figurkami, poruszanemi sznurkiem przez tych, którym na tem zależy. Natomiast ci zakulisowi działacze mają na swą obronę piękne frazesy, tylko frazesy. Ja uważam jako już stary człowiek, który wiele widział, że tu niema jasno sformowanego programu. Z chwilą gdy się poznało, że akcya nie wyda owocu, należało się z męską dumą cofnąć.

Bo niech mi pan wytłumaczy, dlaczego wtedy jestem dobrym polakiem jeżeli, studyuję w Moskwie, Charkowie lub Pitrze, a nie u nas?! Wyjazdy za granicę oczywiście byłyby dobre, ale dla kilku najwybitniejszych jednostek. Tymczasem większość marnuje się i bardzo często zupełnie ginie dla bytu narodowego.

W Rosyi znowu działa na nią rozpaczliwa literatura nowa, młodej Rosyi. Uczuciowy nasz Polaczek marnuje się, bo się rozpije, zawiąże stosunki z kobietami. Np. mój siostrzeniec — wyjechał do Charkowa. Tam wdepnął w koła młodzieży — zawiązał romans ze studentką, nihilistką, bratnią duszę.

I jaki rezultat.

Ponieważ ma z nią dziecko — przeto uważa za punkt honoru zostać z nią razem, ożenić się no i w ten sposób stracony dla nas. A ileż wypadków za granicą w Niemczech, Francyi! Moi uczniowie bywają często u mnie, to może wyrobią sobie należyte pojęcie o tej zmarnowanej czwartej emigracyi. Naturalnie nie twierdzę, że to reguła, ale ileż się marnuje.

„No więc — co robić?“

Przedewszystkiem powiedzieć sobie wyraźnie i uczciwie — popełniliśmy błąd. Następnie uznać, że na razie w obecnych warunkach typ szkoły gdzieby niższe klasy miały wykład w języku narodowym, a wyższe w państwowym i dawały prawa, że taki typ jest jedynie racyonalny i sprawiedliwy

Teraz przerwał mu mowę Lechowski:

„Mój panie, ktoby tak u nas mówił, to bę-

dzie okrzyczany zdrajcą — wyrodkiem. Przypomnij Pan sobie Wielopolskiego, przypomnij pan sobie oburzenie opinii na uwagi Prusa że „nie tylko uczuciem, ale rozumem praktycznym rządzić się trzeba“, nie hasłami poezyi, ale hasłami praktyki kierować się należy“.

Niestety u nas za takie myśli, poglądy bije się w twarz.

„Czy zwrócił kolega uwagę na pisma uczniowskie.

„Tak widziałem kilka numerów otóż jedni są za wielkiemi tradycyami, drudzy niby postępowi. Obie partye operują frazesami i zabawiają się krytyką niepopularnych nauczycieli. Ach jakież wstrętne to pochlebianie uczniom aby być u nich popularnym. Widzimy do czego ten „liberalizm“ pedagogiczny“ doprowadził w średnich austryackich-galicyjskich gimnazyach. Jak tylko nauczyciel ostrzejszy to uczniowie robią.strejk. A tanich obrońców pełno!

Wie pan, że mi to obrzydzenie sprawia...

„A jednak młody panie kolego nie należy desperować—nil desperandum.

„Sursum corda“!

„Mówi to pan dyrektor takiemi słowy, że w nich nie czuję wiary!

„Bo i nie mam takiej gorącej wiary.

Obaj pochylili smutno głowy.

Tymczasem znowu w szkole wybuchła ogromna awantura. Ponieważ zbliżał się maj— przeto uczniowie zaczęli naradzać się, jakie mają

zająć stanowisko. Narodowcy postanowili nie przychodzić w dniu 3 maja do szkoły, aby w ten sposób uczcić rocznicę — postępowcy postanowili nie przychodzić 1 maja do szkoły, a równocześnie obie strony zagroziły, że w razie przybycia na lekcye będą się bić!

Początek tej awantury dała Rudecka.

Gdy na lekcyi uczeń zapytał się, czy ona pójdzie 1 maja do szkoły ta odpowiedziała:

„1 maj to wielkie i doniosłe święto, oto pamiątka zdobycia praw ludu roboczego, to pamiątka zdobycia każdej nowej śmiałej myśli — natomiast 3 maj to przeżytek tem bardziej nie zasługujący na szacunek, że chłopi uciemiężani przez szlachtę żadnych właściwie ulg nie doznali!

Słowa te pomimo, że były wypowiedziane w 3 klasie, a więc do 12—13 letnich chopaków wywołały burzę. Uczniowie rozpowiedzieli o tem w domu — rodzice bojący się wszelkich skrajnych teorji, gdyż groziły one i policją i zburzeniem tradycyi, poszli ze skargami do dyrektora Brzeskiego — a tymczasem ferment wzrastał był tem silniejszy im bliżej była rocznica. Na kilka dni przed 1 maja na bramie szkolnej wywieszono ogłoszenie, że z powodu szkarlatyny w mieszkaniu woźnego lekcye są przerwane do ponownego zawiadomienia. Rozpoczęto też lekcye dopiero 5 maja! Takich to trzeba było używać sztuczek, aby utrzymać bieg życia szkolnego.

Tymczasem wrzenie rewolucyjne nie ustawało — a wybuchy objawiały się wsposób

przechodzący nawet najśmielsze opisy z Germinale'a.

Doświadczył tego Silbertopf. Ten Silbertopf, który dla popularności rzucał wraz z rodziną kwiaty podczas manifestacyjnego pochodu robotników, ten który dobrowolnie im podwyższył płacę, aby być wśród sfer robotniczych popularnym i aby się pochwalić, że jego fabryki idą, ten Silbertopf poniesie śmierć.

Pewnego dnia popołudniu zjawili się w kantorze Silbertopfa 3 robotnicy, którzy prosili o rozmowę z samym Panem dyrektorem. Już samo to żądanie rozgniewało Silbertopfa, który chętnie z własnej woli chciał rozdawać łaski, ale nigdy nie lubił być przymuszony. Gdy woźny odpowiedział delegatom robotników, że pan Dyrektor zajęty i nie może przyjmować, jeden z wysłanników robotnik Balik odpowiedział ostro:

Musi nas żyd przyjąć—psiamać.

Silbertopf usłyszał te słowa i krzyknął ze swego gabinetu:

„Cóż do djabła chcecie—chodźcie gadajcie prędko.

Balik hardo się wyprostował i rzekł:

„Przyśliśmy tu jako delegacya. Robotnicy żądają nadwyżki 50%.

„Nigdy!

„Co tam nigdy, dość się naszą krwią tuczycie cholery — parchy.

Milczeć, za drzwi!

Ale Balik stał i ostro przemówił:

„„No ma pan dziś do 5-tej czas—jak nie— to zobaczycie!

„Precz!

„To ja wam łajdaki sam podwyższyłem płacę, a wy mnie chcecie grozić — ja was rozpędzę — ja was niepotrzebuję — mam z czego żyć. Wy mnie błagać będziecie o chleb, won...

Delegaci wyszli trzaskając drzwiami, Tymczasem wszyscy robotnicy zgromadzili się w dużej szopie stojącej za fabryką. Szopa ta służyła za skład towarów. Gdy robotnicy i robotnice spostrzegli ponure miny delegatów uciszyli się i czekali na słowa Balika.

Balik wszedł na pakę i rzekł:

„Powiedział psia mać, że wcale nie podwyższy—ale niedoczekanie tego parcha — do 5 czekamy, jak nie—to...

W tej samej chwili powstał szmer przy drzwiach szopy — na progu pokazał się Silbertopf. Był blady — bez kapelusza — drżącą ręką wydobył papierosa ze swej złotej papierośnicy i krzyknął do zgromadzonego tłumu złożonego z 300 osób.

„Wracać zaraz do roboty, albo zamknę fabrykę!

Pomruk rozległ się w tłumie, kilku zamknęło bramę, a potem cała masa otoczyła z wściekłością Silbertopfa. Strach jakby przeczucie tragicznej śmierci opanował serce fabrykanta. Wskoczył na pakę i zaczął teraz przemawiać łagodnie, bojąc się rozdrażnić podniecony tłum.

„Słuchajcie — zawsze ja byłem z wami— przypomnijcie sobie, jak był wasz pochód to ja rzucałem na was kwiaty— bo i ja jestem so-

cyalistą i ja jestem postępowcem. Przypomnijcie sobie ja wam pierwszy podwyższyłem lon— a wy teraz chcecie podwyżki, a przecie wy nie wiecie, jakie są wydatki w całości, jakie straty.

„Ho ho! nie kłamać o stratach — zawsze wam na złote papierośnice starczy, a my co gorszego od was, a niby dlaczego to takie parchy mają być bogate, a my tylko nasz krwawy pot dla was wylewać — jeszcze raz gadamy, podwyższacie lon czy nie?

Silbertopf był wściekły. Obrażał go ordynarny ton Balika, rozdrażniła go „niewdzięczność“ dziadów, gniewało go stałe przezywanie go „parchem“, więc rzekł ostro „Nie podwyższę“! puście mię!

„Oho ptaszku potrzebujesz zaczekać—nie puścimy cię jak nam nie przyrzekniesz podwyżki, a jeśli nie to...

W tej chwili zobaczył Silbertopf przed sobą trzy czarne brauningi—zatrząsł się i chciał wydobyć swój rewolwer, ale robotnicy schwyfali go z tyłu za ręce—wykręcili mu je tak, że aż jęknął z bólu i wyrwali rewolwer. Balik zawołał:

„Przeszukać drania, może tam co jeszcze ma!

Wydobyto złotą papierośnicę, robotnicy wydobyli z niej papierosy, rzucili na ziemię — potem wyjęli portfel—hustkę do nosa i portmonetkę. Przez cały czas dwóch młodych robotników trzymało dyrektora za ręce.

Tłum zaczął się coraz więcej przybliżać-- i znęcać w sposób wyrafinowany.

„No co żydzie zgadzasz się?

„Na nic się nie zgadzam i nie ustąpię przed tym terorem!

Popatrzył hardo na tłum, ale dziewczęta, przypominając sobie, ile nędzy w życiu zniosły, a jak się stroją żony i córki tych panów zaczęły przyskakiwać do Silbertopfa i pluć mu w twarz. Silbertopf chciał podnieść hustkę do nosa, ale mu nie pozwolono.

„Podłe bydło,—szepnął.

„Poczekajcie spotkają was kajdany!

„Grozisz nam parchu—coo?

Ha! ha!—słuchajcie żyd nam grozi!

Tymczasem położenie stawało się coraz trudniejsze. Silbertopf był prawie omdlały ze znużenia i bólu z powodu wyginanych rąk. Jedyna tylko myśl błyszczała mu jasno: „Nie poddać się" „nie poddać się"... Po kilku minutach zawołał:

„Wody".

Wtedy jedna z dziewek nalała do szklanki moczu i wśród zadowolenia tłumu podała mu.

Z trudem wstrząsnął Silberkopf głową i odtrącił płyn cuchnący. Wtem inna skoczyła do jego spodni—wyjęła członek i wśród strasznego śmiechu zaczęła wołać do koleżanek:

„Patrzcie obrzezany żydłak".

Dowcipom tym wtórował ogromny rechot— śmiech, tłum zaczął krzyczeć:

„Skończyć z nim! skończyć z nim!

Balik był blady — pot lał mu się z pole-

pionych włosów—odtrącił kobiety i trzymając rewolwer w ręku zawołał do Silbertopfa:

„No, jakże zgadzasz się czy nie?

„Nie — szepnął Silbertopf! — Wtedy Balik i dwaj jego towarzysze strzelili' mu w głowę, w piersi. razem dali doń osiemnaście strzałów. W tłumie była przerażająca cisza. Kiedy Silbertopf runął na pakę zalany krwią, Balik przybliżył się do trupa, obejrzał go, czy umarł, poczem podniósł się wyprostował i rzekł do przerażonego tłumu:

„Towarzysze! wyrok partyi spełniony.

„Jutro o 6-ej do roboty!

Otworzono bramę, tłum pospiesznie wyszedł, nie patrząc na zwłoki. Niektórzy zaczęli się żegnać, kilka kobiet szeptało blademi wargami modlitwę i z przerażeniem jak stado owiec pchało się ku wyjściu.

W szopie został tylko trup Silbertopfa.

Balik przed wyjściem na ulicę wszedł do kantoru i krzyknął:

„W pakierni leży Silbertopf, zabity z wyroku partyi.—Poczem opuścił miejsce zbrodni.

Rzecz niepojęta — na drugi dzień rano o szóstej zjawili się wszyscy robotnicy do pracy—czy nie zdawano sobie sprawy z postępku, czy też liczono na jakąś protekcyę ze strony władzy—nie można było zrozumieć tego zaślepienia.

O ósmej rano zjawiły się dwie roty wojska—otoczyły całą fabrykę i powoli zaczęto

zakuwać robotników i robotnice. Kiedy zaś wszyscy już znajdowali się na podwórku komisarz zawołał:

„Kto przyznaje się do morderstwa Silbertopfa?

Gdy nikt się nie odezwał wtedy otoczono tłum nieszczęsnych ofiar rewolucyi i zapędzono wszystkich do dużego maneżu przerobionego w nocy na więzienie.

Na mocy śledztwa i wyroku wojennego sądu powieszono 14 ofiar w tem 3 kobiety.

Wiadomość o śmierci Silbertopfa podziałała na Brzeskiego i Lechowskiego przerażająco. D-r Gałek był właśnie u Lechowskiego.— Siedział ponury przysłuchując się jego opowiadaniu. Lechowski kończył opowiadanie temi słowy:

„Oto widzisz do czego wasza nihilistyczna teorya prowadzi, tłum musi być trzymany w karbach dyscypliny — w przeciwnym razie staje się najbardziej wyrafinowanym tyranem!— Nie ta rewolucyjna, droga ale ewolucya może doprowadzić do pomyślnych rezultatów.

Gałek rzekł smutno:

„Nie, mój kochany przyjacielu, kłamiesz przed samym sobą—bo jesteś wstrząśnięty wypadkiem. Niewiem, czy nazwać stanowisko Silbertopfa bohaterstwem, jakkolwiek wiele cech przemawia za tym banalnym tytułem, ale morderstwo to jest tylko wynikiem tyloletniej ciemnoty—i krzywdzenia ludzi. Ja nienawidzę życia—a ten podły instykt życiowy, który mię

przywiązuje do bytowania, zalewam alkoholem. Tak, tak spirytusem!

Bo jakżesz tu żyć wśród tej „łez doliny". Od kilku tygodni badam życie dzieci tego motłochu.—Kto widział tyle objawów suchot, kto widział takie nory mieszkaniowe, kto widział to straszne odmawianie sobie wszystkiego—to naprawdę szare życie bez nadziei polepszenia ten nie może się dziwić tym objawom zemsty. Oni mordowali Silbertopfa, bo widzieli w nim tego, który ma piękne mieszkanie, ubranie, wygody, humor, doskonałą kuchnię i t. d. i dlatego są źli. Czy ty myślisz, że czternaście, czy sto, czy tysiąc ofiar zmyje winę lub złagodzi krzywdę — nigdy! Zrozum, że w tych warunkach żadna logika nie pomoże, bo ścisła logiczna polityka prowadzi tak samo do więzienia, jak i kradzież kieszonkowa!

Nie zapominaj, że u nas oświata to rzecz dostępna dla plutokracyi—że oświata utrudniona, że płacić po 120—150 rb. za kilkoro dzieci w szkole nie może uczciwy człowiek, bo nie zarobi.

U nas oświata, to rzecz zbytku, to drogi komfort, to są „niewypłakane łzy". Jesteśmy bezsilni. Zło życia jest potężniejsze od dobra—dlatego śpiewają poeci na cześć szatana — bo on ma większą władzę na tym świecie, niż dobro i piękno.

Lechowski nie umiał na to wszystko odpowiedzieć—paliło go pod czaszką.

Czy naprawdę niema wyjścia?...

Jednak trudno mu było pogodzić się z tym

bezwzględnym pesymizmem, nie—stokroć nie, bo taki pogląd zabija energię życia, taki pogląd —to śmierć. Przecież można ludziom czynić dobrze.

Dlaczegóż są te wspaniałe hasła Ewangelii — tam szukać ocalenia. Zwrócił się więc do Gałka i rzekł:

„Mój kolego, a słowa Chrystusa, a miłość, prawdziwa miłość dla bliźnich?

„Ach ty młody romantyku, odpowiedział mu Gałek:

„Czyż ty nie umiesz żyć bez złudzeń? Pomijam już całą estetyczną wartość zdań wygłoszonych w Ewangelii — ale zacznę przemawiać do ciebie tak po chłopsku z dowodami przed nosem — patrz wieleż na świecie świątyń wzniesionych dla Boskiej miłości bliźniego. A pomimo tego, wieleż nędzy, wiele zła—jakie wymyślne środki zabijania, jakie bajeczne dowody postępu i zdziczenia obyczajów. Lat dwadzieścia pracuje na ciebie ojciec, matka, hodują, męczą się, pielęgnują po nocach nie śpią, a potem chłopczyka zdrowego w mundurek ubiorą i całowane policzki biją „w mordę"! — Nie mój kochany! —

Epoka Ducha Świętego, — marzenie mistyków, Królestwo Boże na tej ziemi to fantazye— dlatego, bo człowiek ma w sobie zło — bo ma w samym sobie niekonsekwencye. Patrz jakie śliczne nieraz dzieci do 14 roku, aż tu nagle instynkt płciowy budzi się — zaczyna się onanizm, obłuda i cały szereg klęsk. Farsa niby to komiczna rzecz, a naprawdę tosmutny objaw—

bo pokazuje, że człowiek nie potrafi być uczciwym, czystym, ale jeżeli nie może swobodnie się puszczać, to przynajmniej w sposób upaństwowiony, legalny bierze udział w rozpuście. Naturalnie myśmy już tak się z tem błotem oswoili, że nas nie razi. Zresztą jakże może nas razić pikanterya, kiedy ona jest potrzebną do życia. Bo wyobraź sobie kobietę ubraną jak najskromniej, ale z temperamentem— choćbyś nie wiem jak chciał odgrywać rolę Katona, to ona cię za nos wezmie, bo już w niej tkwi cała operetka, farsa, tragedya — w jej buciku, halce, w podniesieniu sukni, w niewinnej żądzy podobania się—bo ją tak natura albo jak ty chcesz, Pan Bóg tak uzbroił, aby nęcić, grzeszyć i rozmnożyć się—oto tylko chodzi!

Lechowski patrzył na Gałka ze smutkiem.

„Tak, tak życie to dolina łez, nie można jednak tak ponuro patrzeć na wszystkie objawy, bo w takim razie niebyt stanie się rozkoszniejszym, nirwana!

„A, tak, niebyt — nirwana, opium — haszysz aż przyjdzie on dzień, gdy robak zagnieździ się w twem ciele — zgnijesz, wyrośnie z ciebie trawa i tak nastąpi wiekuista przemiana materyi!

„A nieśmiertelność duszy"?

„Strach, że nic z nas nie zostanie, silny egoizm naszego „ja" dlatego modlimy się za duszę zmarłych, dlatego musimy się bać tajemniczej zasłony, która pokrywa tajemnicę bytu, dlatego kochanku, bo aby żyć trzeba mieć praktyczną filozofię życia—a o takich nieprzyjemno-

ściach marzyć tylko przy czarnej kawie po dobrym obiedzie.

„Przypominasz sobie te słowa: Aby żyć, trzeba patrzeć na świat w sposób przyzwoicie ironiczny.

„Dlatego pan świata powiada nam grzesznikom. Poddani cieszcie się, „że królem macie mnie“.

„Tak ironia — satyra to jedyne godne życia objawy sztuki.

„A czysta sztuka?

„Ot trafiłeś w jedno z brudów życia.

Artysta tworzy nieśmiertelność — sztuka jest nieśmiertelną.

„A więc zamiast jednego bóstwa podstawiasz inne.

„Inne — bo piękne — bo sprawia krótkie niezależne od myśli wzruszenie—rozkosz!

„Dlatego bogowie starożytni nie mają oczu, tylko dlatego, aby pokazać, że prawdziwy Pan nie ulega wzruszeniom, ale jest spokojny.

„Ale ten spokój — śmierć.

„To jest ta tajemnicza kraina, do której skołatana dąży dusza.

„Więc jest nieśmiertelność.

„Jest nieśmiertelność sztuki — nieśmiertelność piękna.

„A źródłem piękna?

„Życie.

„Sztuka to tajemnicza rzeka, w której zmywasz grzechy błota codziennego, gdzie na pewien czas zapominasz o męce, o cierniowej

koronie. Sztuka to boski nektar, który wlewa ciszę—w zbolałe serce.

Sztuka to pieśń nad pieśniami.

Sztuka to uśmiech dziecka.

Sztuka to biel tuberozy, sztuka to płacz rozkołysanych warkoczy drzew.

Lechowski wyjął wiolonczelę i zaczął grać Poloneza z Hrabiny. Było już ciemno.

W miarę rozwoju pieśni takiej żałosnej, takiej tłomaczącej całą polską niedolę, to codzienne utrapienie narodowego życia doktor zaczął improwizować:

Polonez ten, to naszych niewolników modlitwa! Na strunach światła księżyca płynie korowód wielkiej przeszłości.

Zaprawdę dziwnem i niezrozumiałem wydaje mi się czasami, że myśmy potomkami takich rycerzy, takiej chwalebnej historyi. W tym polonezie zda mi się, że słyszę brzęk ostróg i szum piór husarzy, to znowu jakbym widział melancholijnego ks. Józefa. Przypomnij sobie Leszku legionistę z zakrwawionym rabatem i tragiczną wstęgą!

Ach jakżeśmy od nich różni, jakże nędzni wobec tylu ofiar.

Lubię patrzyć w taką noc tajemniczą, na Krakowskie Przedmieście — w stronę Kolumny! Zygmunta! Krwią serdeczną zroszonaś ukochana Warszawo!...

Na tle chmur widzę Zygmunta z potężnym krzyżem — widzę wieże Świętojańskie. W tej perspektywie nic jeszcze obcego nie drażni nam oka.

O ukochane miasto — tyś serce biednej Matki—Polski lament czyniącej!...

Niewdzięczni są twoi synowie, tak strasznie upodleni, tak różni od wielkich ojców swoich!

Tyle pohańbienia spłynęło na nasze głowy — lecz nie zniszczona miłość ku Tobie!.., Wypędzona, męczona, deptana wraca święta czysta nieskalana jako pieśń, jako żałościwa nuta.

Pamiętasz ten obrazek, który nam na obczyźnie tak roztęsknił dusze... Ciemny pokój—z epoki r. 1830—dziewczę gra na szpinecie, aż oto pod wpływem jej muzyki zjawiają się postacie krwawych naszych żołnierzy, a w oku każdego z nich taki smętek, taka żałość... Czyżby nadarmo przelali krew serdeczną!..

Nie, nie mój kochany—mówił cichym głosem Lechowski—nie zniszczą w nas tego czystego zapału. Groźny wicher przeleciał nad naszą strzechą, wiele złości okazało się wśród naszych braci — ale to minie — może przecież prawda zwycięży...

A pieśń łkała...

Warszawa 4 Kwietnia 1912.

Arlekin-Nanie.

Ulicą Wiednia dość wielkiego miasta,
Szedł młody człowiek słuchacz filozofii
Bogumił; losy go tu zapędziły,
Aby studyować w skarbnicach poetów.
Lecz pan Bogumił miał wielkie trudności
Albowiem dusza jego poetyczna,
Była w rozterce uciążliwej z ciałem,
Ciało to bowiem—nieznośna powłoka
Pereł poezyi i porywów ducha,
Głód — nędzny żebrak — zabójca polotu,
Szczypał w jelita i jak na ironię
Na kiszkach jego wygrywał symfonię,
Tony w modernizm uderzyły luby,
Dźwięki to były dość orginalne.
Nie mniej bolesne i w duszy słuchacza,
Wielce ponurym odbijały echem.
Ponieważ dusza polskiego szlachcica;
Na bruku miasta, gdzie z imieniem Polak
Łączył układny kelner tytuł hrabia,
Przeto tembardziej nasz biedny słowianin
Uważał za swój święty obowiązek
Trzymać ten sztandar dumy narodowej
Wysoko ponad obojętnym tłumem.
Szedł więc ulicą — ale nadaremno,
Okna wystawy nęciły go treścią,
Modne krawaty — i szyk kapelusze,
Wiotka bielizna i flakony perfum
Są nie dostojne wzniosłej jego duszy,
Bo jego myśli w niebo uleciały!

Zdala zobaczył Kahlenbergu góry
I myśl tworzyła poezyi obrazy,
Niewdzięczny Wiedniu, oto tam na szczycie
Poczciwy król nasz jak archanioł Boży,
W srebrzystej zbroi ze sępiemi skrzydły
Prowadzi ojców naszych na zbawienie.
Dziś ja Bogumił szlachetny potomek,
Idę a myśl mą trapi komar życia,
Marzenie moje teraz szczęścia szuka
W chemicznym związku wołowego mięsa
Plus mięso świni odziane w jelito,
I podawane jako Wiener-Würstel,
A obok nędznej tej tłumu potrawy
Kryształu rznięty kufel się znajduje,
W którym czarnego z białą głową piwa,
Kwasy węglowe orzeźwiają gardło.
By znaleźć możność na badanie mistrzów,
Musiał Bogumił szukać źródła złota,
Bo to już takie prawo tego świata
Nieznajdziesz wiedzy, gdy twa kieska pusta.
Prosił, ażeby mu dali stypendyum
Lecz chociaż złożył sześć świadectw z colloquium,
Zdanych na stopień bardzo uzdolniony,
Że nie posiadał odpowiednich pleców,
Otrzymał respons, że wszystko zajęte.—
„Wszystko zajęte, oto wielkie słowa,
Które na złotych wypisać tablicach
Powinien student, kiedy sam przez życie
Iść pragnie, aby zdobyć sobie miejsce
Przy stole życia do wielkiego żłobu,
Ponieważ student uważał że jeśli
Istnienie jego jest faktem stwierdzonym
I że swój niebyt nie jest koniecznością,
Czy to dla niego, czy dla otoczenia
Przeto uzbrojon w wielkie Prusa hasła
Przebojem zdobyć postanowił prawa
Do utrzymania swojego żywota,
O którym zawsze miał dodatnie zdanie.
Zrobiwszy tedy przegląd szatek własnych

Na hajdawery zwrócił wzrok ponury:
„Wyście portale już mi niepotrzebne
Dla wyższych celów chcę was dzisiaj użyć
Ponuro patrzą wasze czarne doły
Choć na kolanach tworzycie pagórki
I chociaż wyście zawieruchą czasu
Wytartą macie nie twarz, lecz tył ludzki,
Wy do handlarza z zakrzywionym nosem
Dziś popędzicie — a za te srebrniki,
Ja ogłoszenie złożę dziś w gazecie
„Że młody człowiek z wyższym wykształceniem,
O miłej twarzy, szlachetnych manierach
Zacnego rodu, w wieku pełnym siły
Przy zdrowych zmysłach z miłym charakterem
Ze zdolnościami o czterech językach,
Ze znajomością pięciu literatur,
Z historyą sztuki włoskiej i północnej.
Szuka posady — korepetytora,
Zarządcy domu — tłómacza w teatrze,
Lektora albo towarzysza chorym,
Że jednem słowem przyjmie miejsce płatne
I za monetę skarby wiedzy rozda.
Na ogłoszenie przyszedł dziwnym trafem
Respons na wonnym pisanym bilecie
Student przeczytał i na strunach serca
Poezya zamki, girlandy z róż jasnych,
Wielkie ogrody z łabędzimi stawy
Płaczące brzozy, zagony hiacyntów
Ognie kielichów dumnych tulipanów,
Posągi bogów na tle szmaragdowem —
Grała mu cudnie — bo oto pisano
Aby młodzieniec dzisiaj się przedstawił
Gdyż na posadę lektora go pragną.
Bogumił zbadał treść swej garderoby
Na plecy włożył przyciasny tużurek,
Który otrzymał na kredyt w „Bratniaku“
Czyli tak zwanej „Braterskiej pomocy“,
Gdzie akademik przez czas określony
Korzystać może z ludzi zaufania.

Tużurek barwę miał migdałowatą
Lecz pochodzeniem dowodził świetności
Bo jedwabistą miał podszewkę jasną
i klapy duże z roku trzydziestego.
Spodnie aczkolwiek nieco były wąskie,
Jednakże miały tę zrazu zaletę,
Że piękność uda wyraźnie kreśliły.
Buty!... niestety one były zmorą
Albowiem w miejscu, gdzie się stopa zgina
i mały palec wyciska kopułkę
Były otwarte — więc tę paszczę wstrętną
Bogumił czarną zalał krwią inkaustu.
Następnie twarzy nadał wyraz słodki
I szedł pod w liście wskazanym adresem,
Ale że młoda bujna krew junacka
Zagrała w żyłach lawą południową,
Zdjął więc kapelusz i zwinął go w trąbkę
I z gołą głową szedł w przyszłość tajemną.
Nie zauważył jak wielu z przechodni
Zdumionym okiem patrzy na młodziana,
On szedł — a wonny papier bileciku
Rozkoszny kącik w ciemnym saloniku
I Cud — kobietę psotnie mu nasuwał,
Więc kiedy teraz zdobędę mamonę
Będę mógł tworzyć, co poezya każe,
Ot taki obraz — pierwsza zieleń wiosny
Pod rozkwitniętej jabłoni drzewiną
Młodziutka sarna lekką stawia nogę
A na żółtawej onej sarny skórze
Młodziutkie faunię śmieje się rozkosznie,
Albo... lecz oto adres nań się patrzy
Wyraźną cyfrą jak gdyby nań wołał
Stój młody panie! tu kres twej pielgrzymki...
Pełnym podejrzeń stróż nań rzucił okiem
Z lekką ironią migocącą w oku,
Lokaj o twarzy dostojnej apasza
Drzwi mu otworzył przezacnego domu,
Więc do salonu o zaćmionych oknach
Do tajemniczej dumania świątyni

Lokaj mu okiem tudzież ruchem nosa
Wskazał, że tam ma czekać losu szczęścia,
Aby podłogi gwiazd subtelnie czystych
Swą brudną nogą nie zaciemnić lica
Z namiętną siłą młodego szlachcica
Obydwie nogi tarł o wycieraczkę,
Następnie usiadł na trzyczwarte krzesła
I pełnym szczęścia powiódł wkoło okiem,
Jedwabne meble — senne foteliki
Z jaką lubością pieścicie te części
Ciała kobiety, które na was spoczną...
Biedny Romeo, on nie jest jedwabiem
Biedny Romeo, on nie jest fotelem
Biedny Romeo, nie jest filiżanką,
Którą rozkosznie wdzięku pełną ręką
Pieści kobieta, bo ta, co pisała
Musi być piękną. Na środkowej ścianie
Wzrok jego znęcił portret białej Pani
Wysoka, jasna z falą cudnych włosów
Na—szyi miała sznur tajemnych pereł
Brwi jej — subtelne muśnięcia skrzydełek
Rajskiego ptaka — Oczy jej poemat
Można się było patrzeć na te oczy
I modlić do nich i błagać Tanatos
Aby raczyła śmierci słodkim czarem
Ukrócić życie gdy oczy te gniewne.
Ale gdy oczy te zdradzały radość,
To — chór silniejszy niż chór Bethovena,
Symfonii szczęścia — grał w duszy wybrańca
Nasz młodzian bowiem rozumiał muzykę
I ją odczuwał potężnym odczuciem
Jak do preludyów boskiego Szopena
Można w naturze znaleść komentarze
Poranek wiosny — maj — cisza wokoło
Promienie słońca padają na szare
Ściany dworeczka, a na starym ganku
Gdzie bluszcz zielony rozpina tkaninę
I gdzie artysta pająk na linewce
Własnej twórczości ęczowe niteczki

Rozpiął, promienie przelatują słońca
Na biedną głowę studenta wędrowca
Spływają białe ukochane ręce
Matki płaczącej, że najsłodszy synek
Znowu uciekać musi za granicę
Bo jego myśli, dlatego, że z serca —
Władza uznała za nieprawomyśle....
I młodzian patrzy — oto przed werendą
Gazon kwiecisty rozszerza się dumnie.
Białe, żółtawe, czarne, fioletowe
Malują bratków sreregi granice
Rdzawo zielona anielska rezeda
Przepych zapachów wydziela na ziemię.
Wyniosła malwa sztandary purpupy
Poważnie schyla ku krzakom pożyczek
A nad tym zbiorem piękności rodzimej
Jaskółki strojne w granaty i biele
Z czerwoną łatką i spiczastem skrzydłem
Wdzięczne jak tony zakreślają łuki.
Usta jej, usta o najsłodsze usta
Wyście zapachem kwiecia winogradu
Wyście rozkos ą dla bogów dostępną
A dalej linie — one wdzięczne linie
I nóżka mała w lakierku spiczastym
Z pończoszką, której ażury złośliwe
Dla udręczenia męki Ugolina
Dla udręczenia sroższego niż Hades
Niżeli moce skłebione piękielne...
...Młodzieniec zaczął modlić się do Pani:
„O przybądź piękna, niezwykła! radosna!
Pozwólbym został dla ciebie podnóżkiem
Depcz moje ciało, lecz pozwól o Jasna
By oczy moje, te zmęczone oczy
Mogły nasycać się Twoimi wdzięki.
Tu na myśl przyszły mu dawne historye
Jak się niewolnik w Pani rozkochany
Patrząc szczeliną do sypialni Boskiej
I przekonany, że nigdy nie wolno
Będzie mu dotknąć jej wonnego ciała.

Na konopianym zawisnął sznurzysku
A nikt nie wiedział przyczyny zabójstwa...
I gdy tak modlił się nasz czuły szlachcic
Weszła ta pani żywy portret piękna
I rzekła: To pan chce zostać lektorem
A student zbudzon z zachwytu i marzeń
Widać baranią miał teraz twarzyczkę
Lub może jego zszarzałe ubranie
Żebraczą plamą na tle dobrobytu
Raziło w sposób niemiły bogatych
Lub może noga z podartym buciskiem
Splamiła gwiazdę drewnianą podłogi
Lub może pani chciała aby lektor
Posiadał kształty rzymskiego atlety
Erosa, Marsa albo porucznika
Dość, że nie dała chłopcu ust otworzyć,
Lecz rzekła suchym, obojętnym głosem:
„Przepraszam miejsce pańskie już zajęte!
— Z szybkością dziwną osłabłemu ciału,
Młodzian wyleciał z bramy na ulicę
W ustach odczuwał gorycz, jaką zwykle,
Ma się po taniem spalonem cygarze
Lub przydymionej zupie kartoflanej!
Głód, który dotąd nękał biedne ciało
Znikł — złość natomiast wpełzła mu do duszy
Jedna z tych złości - najstraszniejszych złości
Kiedy się gniewasz na samego siebie
„O idioto — o baranio głowo
Jakżeś wyglądał nędznie przed tą damą
Ohydny Blaksie, nędzny Quazimodo
Ryszardzie trzeci, Franciszku Morowy
Stań z tą swą twarzą—pod kamiennym murem
I proś niech walą cię ludzie z ochotą
W twarz z każdej strony albo mokrą szmatą
Trzasną cię między twoje głupie ślepie
Lecz po tej złością uniesienia chwili
Żałosna nuta zakwiliła w sercu
Jakby na polu naszem posrebrzanem
Zdala fujarki jęczał ton litośny

Lub obok krzyża z Męką Chrystusową
Płakała mała zgubiona sierota
Mazurek w duszy zagrał mu Szopena
Który mu grała jego ukochana
Kiedy ostatni wieczór przed wyjazdem
Z żałością w sercu, z uśmiechem na ustach
Z obawą w duszy, z frazesem odwagi,
Pocieszał biednej kochanki tęsknicę
Gdy babka słowa z żałością mówiła:
Dziadek wasz także ztąd wyjeżdżać musiał
Na obcych ziemiach polska błądzi dusza
Warszawy słodkiej serdeczne wspomnienie
Wtedy dopiero rozkołysze duszę
Gdy się jej niema — lecz zwyciężyć trzeba
I wrócić wielkim, wrócić mądrym człekiem
Nie zmień się dziecko pośród obcych ludzi
Bo już tak wielu tam się zatraciło...
Biedny nasz student zaczął się rozczulać
Nad swoją dolą — wspomniał jak tam w domu
Przecież nie znają co to głód prostacki
Co w niewypranej żyć długo bieliznie.
O jakże tęsknił za tą matką słodką
Co usuwała ciernie krwawe z drogi
Gdy tu nikomu nie jest on potrzebny
Tam czuł, że przecież jest dla kogoś drogi..
Lecz czy im pisać, że tak marne życie
I czy im bardziej czynić gorzką dolę
Nie — raczej zdechnę... trzeba się uśmiechnąć
I uśmiech błysnął na twarzy studenta
Uśmiech półgłówka, uśmiech idjoty
A że nasz młodzian szedł powolnym krokiem
Bez kapelusza z uśmiechem przygłupka
Przeto przechodnie zwrócili nań oko
I coraz większa przechodniów gromada
Szła za młodzieńcem z dala. A ten ciągle
Szedł naprzód z myślą o tej szarej Wiśle
O Łazienkowskim parku, o Alejach,
O Starym Mieście, które jak we Włoszech
Piętrzy sie, strzela wieżami do nieba

A kiedy wieczór nad miastem zapadnie
Od strony Wisły tysiące światełek
Illuminacyą zdobi sławne miasto!
Jana Świętego Gotyckie wieżyce
Wieżyczka zamku, Wieża Matki Bożej
Dominikanów zczerniała kopuła
I krzyż trzymany prawicą Zygmunta,
Arkady mostu, te szare żaglowce
I te choć marne swojskie parostatki
Teraz to wszystko tęsknotą spowite
Wizyę czarowną w duszy emigranta
Tworzyło, bólem napełniając serce...
Tak nasz hidalgo doszedł aż do końca
Ulicy długiej na placyk dość duży
Gdzie teatr figur woskowych z historyi
Ogłaszał swoje oświatowe cele...
Przed tym teatrem klown z wosku zlepiony
Z ceglastą barwą na żółtawej twarzy
Przez mechanizmu tajone sprężyny
Poruszał ręką a ta zbrojna w pałkę
Waliła w bęben, by zwabiać przechodniów.
Kiedy się zbliżał student, a w ślad za nim
Szło kilkadziesiąt osób z ciekawością
I pół uśmiechem patrząc na studenta
Badając bystro, co też on uczyni
Myśląc, że warjat, albo że umyślnie
Udaje błazna, jakoby reklama
Właściciel budy, kinematografu
Amerykanin spryt mający we łbie
Do bohatera naszego się zbliżył:
„Panie Szanowny, pana angażuję
Tą świetną miną intrygujesz ludzi
Idą za tobą - sprowadzaj ich do mnie
Żywą reklamę chcę mieć teraz z ciebie
Będę ci płacił 5 koronek dziennie
I od biletów część 4-rtą dochodu!
Zapewne jesteś pan aktorem z miasta
No więc, czy zgoda — bajeczna ta mina!
Student nasz oczy wytrzeszczył zdumione

I rzekł po chwili, kiedy oprzytomniał:
„Co jaka mina? co jaka reklama?
Ja mam być wabiem do woskowej budy
Eheu nie miserum —biadaj cna Elektro
Io moj, moj, moj! co za losu palec
Mina, ma mina, więc mam twarz tak głupią....
...Pod wpływem gniewu myślał w pierwszej chwili
Wydobyć szpadę i szykowną tercą
Przebić brzuch tłusty pana przedsiębiorcy
Lecz że w dzisiejszych szarej prozy czasach
Szpady się niema ani karabeli
A nadto albo może też dlatego
Że tłum się coraz liczniejszy zgromadzał
Student zgorzkniały prędko głowę nakrył
I szybkim krokiem uciekał od ludzi
Uczucie przykre bolesne chciał zdusić
Myślą o zacnych filozofii tezach
Dusza ma chora wybieraj więc duszo
Taką ideę co cię uspokoi!
Jestem z tych ludzi, którym trzeba złudzeń
I wolę bańkę z mydła lazurową
Niżeli czarną lub szarą realność!

Tyrania, jeśli ma pozór przyjaźni
Jest jak trucizna podawana w winie,

Szukasz napróżno duszo ma przyjaźni
Przyjaźń jest dla niej słońcem życia, źródłem
A pod jej wpływem stworzy owoc, dzieło
Lecz gdy ułuda przyjaźni rozpryśnie
Jak cieplarniany kwiat zostanę biedny. —
Czasem zalety stają się nieszczęściem
Czasem zalety są bezużyteczne
Bo te zalety owoc doświadczenia
A doświadczenie za późno mi przyszło.

Napróżno duch mój szuka rozwiązania
Czemu zarodki złego tak są liczne
Teologowie szukając responzu

Na takie kwestye używają sztuczki
Nato są — mówią — by dobro jaśniało
I tym sposobem ratują opatrzność.

W pesymistycznych nużać się teoryach
I zastosować je potem do życia
Napróżno człowiek, który chce żyć z ludźmi
Potrafi złączyć 2 różne pierwiastki
Jeśli rozsądny, jeśli nie porywczy
Nie będzie płakał, gdy nie znajdzie prawdy.

Silna namiętność gardzi umizgami
Dusza skąpana w krynicy przyjaźni
Pogarda nędzną potrzebą codzienną.

Naprawdę tęskni mężczyzna za panią
Jeżeli roskosz—pamięć — pożądanie
Orkan płomieni zapalą mu w duszy.

Celibat nudny i małżeństwo nudne
Lecz którąkolwiek ty obierzesz drogę
Zawsze na końcu będziesz żal odczuwał.

A kiedy minie wiek groźnych rozkoszy
Z Bohemy robi zwykle się esteta
Niekiedy tworzy jednak wielkie dzieła
Bo po wulkanach urodzajne grunta.

U ludów wolnych historya ciekawa
Ludy pod jarzmem tworzą inne dzieje
Karty podłości łzami nakreślone.

Każdy mieć lubi własne środkowisko
Piesek na łonie pachnącem kokoty
Woli poskakać przy narożnym domu.

Bagnet podstawą ogniwem pokoju
Tak pies łącznikiem zwierzyny i strzelca.

Na ucisk władzy narzeka poddany
Lecz kiedy chwyci kawał jej w swe zęby,
Staje się nowym ucisku czynnikiem

Voltair miał także specyalność trybuna
Bronił oracyą uciskane ludy
Kiedy pod wpływem gorących przemówień
Zapłakał Wielki Pruski Fredericus
Voltair zawołał: Crocodilus płacze!

Myśli zabawę nazwał nasz arlekin
Rondem, confetti, meandrem, gazelą,
Lecz smutku duszy nie mógł on rozprószyć
A że nastroje duszy lubił kreślić
Więc stan swej psyche przyrównał do pustki
Jaka zostaje w mieszkaniu zmarłego
Kiedy przed chwilą trumnę wyniesiono
I drzwi mieszkania na kłódki zamknięto
Biegł prędko słodki z nad Wisły wygnaniec . . . . .
A wiatr melodyę ironii mu śpiewał.

. . . .

. . . .